



1695

Egz. archiwalny IBL

J. J. JEŻ.

POD OBUchem.

POWIEŚĆ.

TOM I.

~~INSTYTUT~~
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Dąbrowski 72
01-000 Warszawa
Tel. 26-68 68, 26-62-31 w. 42

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.

Z drukarni J. Dobrzańskiego i K. Gromana.

<http://1878.org.pl>



I.

Lat temu kilka, w przejeździe przez Kraków, zatrzymałem się był na dni parę w hotelu. Działo się to w porze odlatywania ptactwa do ciepłych krajów, tego ptactwa bezskrzydłego, które od skrzydlatego różni się nietylko brakiem skrzydeł, ale oraz i tem jeszcze, że ogólnie rzecz biorąc, w wędrówce więcej ponosi szkody, niż pożytku. Z ptactwem skrzydlatem rzecz ma się na odwrót. Mniejsza jednak o to. Wymowniejsi odemnie pisali o podróżach, korzyść z których mogłaby być ogromną, olbrzymią, gdyby.... pobudką onych była nie moda, lecz potrzeba. Moda stanowi całe zło. Jest to Baal nowoczesny, stojący silnie, niewzruszenie; bramy piekielne i niebieskie nie przemogą go — ha!... cóż na to poradzić!.. Trzeba chyba przyjąć fakt tak, jak jest.

Owóż fakt jest, a wobec faktu tego stary nasz Kraków nie pozostaje bez znaczenia. W wędrówkach corocznych ptactwa naszego przypada mu funkcja etapu popasowego. Podróżnicy z nad Wisły, od Niemna i od Dniepru zatrzymują się pod Wawelem, odpoczywają i ciągną dalej. By-

wają momenty, w których stary gród bitkiem jest nabity.

Nie trafiłem na moment taki. Spóźniłem się nieco. Zawierucha główna przewaliła się już była, i to co przeciagało, byli to maroderzy, wlekący się z tyłu. Hotele stały pustkami prawie. Salonów jadalnych nie zapełniały w porze obiadowej, tłumy pstre a gwarne, kaleczące dwa mianowicie języki, wydane na pastwę turystów naszych: polski i francuski.

W sali jadalnej hotelu, który mi gościnności użyczał, zastawionej stolikami o kilku nakryciach, znalazłem się sam jeden, gdym wszedł do takiej. Zdziwiło mnie to trochę. Spodziewałem się, że w Krakowie nie jest przecie tak pusto.

— Czy to godzina obiadowa?... — zapytałem garsona, gdy ten poskoczył ku mnie z zapytaniem: Co wielmożny pan rozkaże?..

— Obiadowa, proszę wielmożnego pana... — odpowiedział

— Nie macie chyba w hotelu nikogo...

— A nie... Numery pozajmowane...

— Nie wszystkie jednak...

— No... nie... Wszelako...

Przypomniałem sobie, że na podsieniu widziałem nazwiska kilka kredą na tablicy wypisanych i nawet czytałem takowe. Nie posuwałem więc indagacji dalej. Kazałem sobie podać jedze-

nie i *Czas*, zamierzając połączyć dwa pożytki razem: pokarmić i ciało i duszę — pierwsze porcją jedną jakiegoś tam dania, nigdy bowiem w Krakowie dwóch porcyj zjeść nie byłem w stanie; drugą wonią polityki, wydzielającą się ze szpalt tej gazety. I gdym się tak karmił dla dwóch naraz żywotów, dla doczesnego i dla wiecznego, do sali wszedł jegomość jakiś. Spojrzałem nań; wydał mi się znajomym. Wzrost mierny, postawa szykowna, mina poważna, wiek trzydziestka skończona, ubranie staranne, ale niewyszukane, włosy, broda i wąsy ułożone w sposób oznaczający, iż są one przedmiotem pamięci, ale nie pieczołowitości. Wszedł z paletotem na rękę i w kapeluszu na głowie. Paletot i kapelusz oddał kelnerowi i zajął miejsce przy stoliku, stojącym tuż obok tego, przy którym siedziałem.

— Znajomy... — myślałem sobie, rzucając na niego okiem z boku — ale gdzie? z kąd?.. tego sobie przypomnieć nie mogłem.

— Gdzie?.. z kąd?.. hm?..

Utopiłem wzrok w *Czasie*, myśląc iż z niego może przypomnienie mi wyskoczy, utopiłem następnie wzrok w olbrzymim rozbratlu, urągającym rozmiarami swojemi apetytowi memu, wzniosłem oczy do góry i — omal dłońią w czoło się nie pałnąłem. Ów znajomy był mi wcale nieznanym. Znałem go z widzenia, i to nie jego osoby, a tylko wizerunku, który mi wpadał w oczy

nieraz i nie w jednym miejscu. Oglądałem wizerunek jego na płótnie i na papierze, pod postacią portretu farbami olejnymi, pod postacią litografii, fotografii i drzeworytu. Przypomnienia raz wywołane przyprowadziły mi na pamięć i życiorys męża tego, skreślony kilkakrotnie w pismach czasowych. *De fil en aiguille* — jak powiadają Francuzi — począłem też przypominać sobie i nazwisko jego:

— Rur .. rura... hur... kr... bor... bura... bira.

Pamiętałem dobrze, że litera „r“ odgrywa w niem rolę główną i, dzięki usilnej pracy pamięciowej, której się oddałem, wpadłem na „Burakowski“, z „Burakowskiego“ na „Chmurski“, a z „Chmurskiego“ na „Wurski“. Nie wiele brakło, żebym w głos nie zawołał:

— Jan Baptysta Wurski!..

Powstrzymać się jednak zdołałem od manifestacji tej i zająłem się pokonywaniem rozbratła.

Pełniąc czynność tę niełatwą — rozbratle krakowskie, pod względem pokonania onych, przedstawiają do rozwiązania zadanie nie lada — przyplątała mi się do głowy myśl następująca:

— Ów Jan Baptysta Wurski, od którego mam zaszczyt znajdować się o kroków kilka, jest to niezawodnie jedna z ilustracyj naszych... O tak... Zkądże by bowiem, gdyby tak nie było, wizerunki jego takie znajdowały rozpowszechnienie!.. A życiorysy?.. życiorysy?..

Łamałem i wylamywałem pamięć; przywoływałem na pomoc *Czas*, na widok którego wzdychać począłem; poddawałem mózg różnym w ramach podobnych praktykowanym próbom gimnastycznym; nie byłem w stanie przypomnieć sobie, co mianowicie życiorysy opiewały, inaczej, czem zasłynął ów mąż znakomity, o którego nazwisku i dwóch imionach potomność będzie wiedziała. Potomność będzie wiedziała, a ja nie wiem. No — nie wiem. Śród czytelników, co na tę ramotę moją uwagę zwrócić raczą, nie znajdzie się zapewne ani jeden, nieznający z nazwiska i imion Jana Babtysty Wurskiego; ja zaś nic o nim nie wiedziałem. Uczony li to?.. rzemieślnik?.. artysta?.. przemysłowiec?.. urzędnik?.. spekulant?.. filantrop?.. pisarz?.. mąż stanu? poeta?.. Wszystkie kwalifikacje znakomitości miałem na nitce pamięciowej, przesuając takowe, jak przesuwa się paciorki różańca; nie zdało się to wszystko na nic — nie odkryłem tajemnicy znakomitości. Począł się już był w umyśle moim formować zamiar zuchwały, zaczepić Jana Babtystę Wurskiego. Układałem już sobie nawet przemówienie stosowne:

— Panie, nie chcę opuścić zręczności, jaka mi się przypadkiem nastreczyła, złożenia hołdu osobistości tak znakomitej.. Tylem o panu słyszał, że... prawdziwie...

Miałem się zwrócić ku niemu, w uśmiech

fizjognomię ustroić i przemówienie powyższe z naciskiem odpowiednim wyrecytować, gdy wejście do sali gości nowych dystrakcję mi sprawiło.

Weszli — było ich czworo.

— Ptactwo.. — powiedziałem sobie pod nosem, po chwili zaś dodałem: kulfon..

Dodatek ostatni stosował się do jegomości, który w tem gronku odegrywać zdawał się rolę główną; wyglądał na ojca rodziny. Wiadomo wam jest, łaskawi czytelnicy, że kulfonami nazywano pieniądze oberżnięte. Owóż jegomość ów, ów ojciec rodziny, rzucił się mi w oczy pod postacią pieniądza oberżniętego — oberżniętego dokolusiańka. Krótkie jego nogi wyglądały, jakby oberżnięte, przyplaszczona głowa wydawała się oberżniętą, uszy poobrzynane, nos oberżnięty, ręce oberżnięte, palce oberżnięte, co zaś najgorzej, wyraz, jaki z oblicza jego przez przymgłone przeglądał źrenice, świadczył o oberżnięciu duszy. Był to, słowem jednym, kulfon w postaci człowieczej, dukat bez wartości. Kulfonowi temu towarzyszył wyrostek lat piętnastu i dwie damy.

— To rodzina.. — pomyślałem, rzuciwszy po raz pierwszy na grono to okiem.

Powtórny atoli rzut oka wątpliwość we mnie wzbudził.

Pomiędzy czterema temi osobistościami nie zachodziło najmniejsze rodzinne, familijne podo-

bieństwo. Każde z innej było beczki. Jegomość miał włosy płowe, niby popiołem przysypane i do czoła a skroni się klejące, wzrostu był małego, szczupły, nieco pochyłony, nos płaski, oczy senne. Wyrostek wyglądał jędrnie i wydawał sobą Semitę, wzrostem nie o wiele przechodził jegomości, lecz oczami strzelał żywo, a miał je czarne, równie jak włosy, które się kędzierzawiły nad czołem i na skroniach; nos wypukły nieco po środku i usta mocno czerwone a zaślinione zdawały się ukazywać bardzo wyraźnie na pochodzenie w prostej linii od jednego z dwunastu synów Jakóba.

Wraz z jegomością i wyrostkiem weszły jejmość i panna.

Jejmość, była to dama wiotka, smukła, słuszną, nosa pociągłego, włosów jasno blond, oczów jasno-błękitnych, cery przejrzystej.

Panna, lat około dwudziestu, dużo od jejmości niższa, modrooka szatynka, należała do rodzaju tych postaci sympatycznych, które posiadają własność zatrzymywania na sobie uwagi. Półchmiutka, szykowna, miała jeszcze i tę zaletę, że patrzącemu na nią przedstawiała się pod pozorem pryzmatu, przez który świat wygląda różowo; taka jej z oczów i z postaci całej była wesołość, połączona z wyrazem naiwności dziecinnej, zaprawnej ciekawością, właściwą dzieciom roztroprnym. Kształty prawie klasyczne — mo-

głaby nawet rzeźbiarzowi pozować, cera świeża, płeć delikatna, rysy oblicza regularne, czyniły z niej stworzenie całe ponętne, a jak niebo od ziemi, tak od jegomości, jejności i wyrostka różne. Jegomość i jejność mogli być małżonkiem i małżonką, zdawało się atoli czystem i absolutnem niepodobieństwem, ażeby nie to rodzicielstwo, ale pokrewieństwo łączyło ich z wyrostkiem i z panną i, ażeby pomiędzy dwojgiem tych ostatnich inny jak prostej znajomości zachodził stosunek.

Panna — przyznam się do grzechu — sprawiła mi dystrakcję niejaką i uwagę moją od rozbratła. *Czasu* i zagadkowej znakomitości odwróciła. Z przyjemnością niekłamaną patrzałem na nią. Gronko usadowiło się tuż obok mnie, przy stoliku, który od Jana Bąbtysty przegradzał stolik, przy którym siedziałem, tak że znalazłem się po środku, pomiędzy ilustracją, z wizerunków mi znaną, a towarzystwem, o którym nie miałem nocji najmniejszej. Spotkanie przypadkowe i przelotne. Ani przeczuwałem, że osoby te są względem mnie tak, jak osoby, które autor dramatyczny na pierwszej spisuje stronnicy.

Panna przeszkodziła mi zastanawiać się nad Janem Bąbtystą Wurskim.

Odsunąłem *Czas* na bok i wziąłem się do rozbratła.

Jednakże, w księdze przeznaczeń zapisanem
 snąć było, ażebym go nie spożył spokojnie, bo
 oto Jan Babtysta Wurski zaintrygował mnie pozą,
 jaką przybrał. Napuszył się, nastroił minę na ton
 dumy szlachtetnej, poprawił nieco czupryny i na
 garsona zawołał:

— *Czas!*..

Znajdowałem się w posiadaniu tego pisma
 szacownego i nie miałem nic pilniejszego, jak po-
 spieszyć z ustąpieniem onego zakomitości. Nie
 otrzymałem za to, ani kiwnięcia głową. Nie cho-
 dziło mi jednak o to. Zadovolnienie wewnętrzne
 służyło mi za podziękę, wraz zaś z zadowolen-
 niem do duszy, wsunęły mi się w słuch wyrazy
 następujące :

Pytanie: „Co to za jedni, ci państwo?..“

Odpowiedź: „A to proszę, proszę pana,
 z Motowidła..“

Pytanie: „Z Motowidła?“

Odpowiedź: „Tak, proszę pana...“

Pytanie: „Jak się nazywają?..“

Odpowiedź: „Proszę pana, nazywają się, pan
 hrabia stary, pan hrabia młody, pani hrabina
 i panna hrabianka...“

Pytanie: „Czy w hotelu, wśród służby, jest
 kto rozumniejszy od ciebie?..“

Odpowiedź: „Jest, proszę pana...“

Pytanie: „A kto?..“

Odpowiedź: „Oberkelner, proszę pana...“

— Podaj mi zupy pomidorowej... — odezwał się Jan Babtysta — i butelkę Bordeaux...

— Więc to ojciec, matka, syn i córka... — pomyślałem sobie, spoglądając nie bez zdziwienia na czworo ludzi, którzy się wydawali zbieraniną ze czterech stron świata.

Teraz i mnie oni zaciekawili. Odwróciłem uwagę od znakomitości, a zwróciłem ją całkowicie na rodzinę kulfona, ozdobionego tytułem smutnego znaczenia, a wyglądającego smutnie, jak tytuł ów. Biedactwo! Wyraz oblicza jego wzbudzał uczucie politowania. Oczy przymglone i warga dolna nie trzymająca się górnej, cechowały go piętnem idjotyzmu, który harmonizował nie źle z melancholijną twarzą hrabiny, lecz nie zgadzał się bynajmniej z błyszczącymi sprytem oczętami hrabiczki i z jaśniejącymi roztropnością oczami hrabianki.

— Jakaś natury igraszka!... — powiedziałem sam do siebie.

Na tem zakończyć się miały spostrzeżenia moje, gdy znów, z lewej strony, do słuchu mego doszedł szept.

Pytanie! „Jak się nazywają?..“

Odpowiedź: „Dzie... dzie.. dzie-rzejewscy, proszę pana...“

Pytanie: „Dzierzejewscy?..“

Odpowiedź: „Tak jest, proszę pana...“

— Hm... — mruknął Jan Babtysta.

Mruknięcie to było wymownem, jak wymownem bywa milczenie w razach pewnych, jak w innych znów razach wymownemi bywają cyfry. Usłyszawszy je, domyśliłem się od razu, że jest ono pokrewnem tej akcji gracza, która polega na załamaniu różka karty, a nazywa się zagięciem parola. Spojrzałem na Jana Babtystę. Żywo zupę kończył, winem popił, usta sobie serwetą obtarł, wstał i, obchodząc stolik, przy którym siedziałem, pomiędzy hrabią a hrabiną się zatrzymał.

Hrabia i hrabina podnieśli na niego oczy zdziwienia pełne.

On przez chwilę intrygował ich milczeniem; wreszcie zaczął:

— Szczególny traf!... Ja z północy, państwo z południa... zjeżdżamy się w Krakowie, jakbyśmy się umówili... Wszelako, pewny jestem, że się państwo ani domyślacie, co ja za jeden...

— E... hm.. e... — odparł hrabia, oczy to podnosząc to spuszczać — ee... to jest.. — ramionami wzruszył i parę razy kaszlnął.

— Prawdziwie... — dodała hrabina. Istotnie... Rzeczywiście...

— Któż by to jednak — zaczął znów pan Babtysta — ośmielił się tak obcesowo napadać na państwo!. . Musi być to ktoś, mający do tego niejakię prawo..

— Eh... ih... — odparł hrabia.

— Pan nas zaciekawia... — odrzekła hrabina.

— Pragnąłbym, żebyście państwo odgadli...

Widywaliśmy się niegdyś...

Hrabia na krześle się poprawił, hrabina błękitne, hrabianka modre oczy na Janie Babtystie zawiesiły, hrabicz zaś, nie długo się namysłając, rzucił nazwisko:

— Pan Kapuściński!...

Matka wzrokiem najprzód, następnie słowami skarciła syna:

— Co tobie, Fredziu!... co za podobieństwo do pana Kapuścińskiego!...

— Pan Łopata!...

— Fredziu!... — upomniała hrabicza hrabianka.

— Pan Hromowicz!... — rzekł chłopiec, kiwając się na krześle.

— A!... — odezwał się hrabia, ręką ku synowi skinąwszy.

Fredzio jednak zabierał się odgadywać dalej i usta już otwierał do wymówienia nowego jakiegoś nazwiska, co propozycję Jana Babtysty w śmieszność obracało, gdy Jan Babtysta tamę temu położył, powiadając swoje nazwisko i imiona.

Hrabia, oczy zmrużając, głową skinął, hrabina uśmiechnęła się wdzięcznie, hrabianka podchwyciła:

— Kto jak kto, a ja odgadnąć byłam powinna, przed samym bowiem z Motowidła wyjazdem widziałam w ilustracji portret pański i czy...tałam...

Tu się zająknęła nieco, czytała snąc bowiem tylko podpis pod portretem i nic więcej, więc zawahała się wymawiając wyraz „czytałam“.

— Nekrolog pański... — podpowiedział Fredzio.

— Życiorys... — poprawiła hrabianka, rzucając na kiwającego się wciąż brata spojrzenie i rumieniąc się lekko.

— O... tak... hm... — podchwycił pan Wurski tonem od niechcenia. Pisma od dawna napastowały mnie o portret i o życiorys i, dzięki zapewne niedyskrecji przyjaciół moich, przysłyły do jednego i drugiego... Widziałem to i ja... Nie na tem jednak opieram prawo do znajomości z państwem... Ojciec mój pozostawał z hrabią w stosunkach...

Hrabia oczy podniósł, popatrzył na pana Jana Babtystę i rzekł:

— A tak... tak... przypominam sobie... tak... z ojcem pańskim pozostawałem w stosunkach z powodu...

— Sprawy spadkowej, jeżeli się nie mylę... dokończył Jan Babtysta.

— Tak... coś...

— Która się rozstrzygnęła kompromisem, na który wezwany ojciec mój jeździł i mnie ze sobą zabrał.. Wówczas to miałem zaszczyt poznać hrabiego i hrabinę..

— O! to już i ja przypominam sobie.. — odezwała się ta ostatnia. Ojciec pański. .

— Nie żyje już od lat kilku.. — z westchnieniem wtrącił Wurski. Za życia swego często wspominał hrabiego i hrabinę z prawdziwym uwielbieniem..

— O!.. i my... z naszej strony... — odparła hrabina — zachowaliśmy... chciej mi pan wierzyć... dla ojca pańskiego... uczucie..

— Przyjaźni niewygasłej... — odpowiedział tonem drwiącym syn matce.

— Chciej mi pan wierzyć... — powtórzyła hrabina z przyciskiem.

— Mamie wierzyć można... — odezwał się młodzieniec, przybierając minę protekcyjną — można.. o!.. można..

Patrząc na tego smarkacza, wielką miałem ochotę wstać i za ucho go pokręcić. Uważałem, że i pan Wurski nie byłby od tego, powściągał się jednak, pomimo że, zdaniem mojem, nie pozostawało mu nic innego, jak powrócić na swoje miejsce do stygnącej sztuki mięsa. Zdanie jego atoli było snąć inne, a to dla tego może, że hrabianka patrzyła na niego z takim wyrazem,

jakby go o przebaczenie prosiła z powodu brata. Nie odchodził, odzywania się hrabiczka ~~z~~ zimno uszów puszczał, starał się utrzymać w tonie obojętnie poważnym i zapytał w końcu:

— Państwo zapewne do kąpiel?..

— A tak... — odrzekła hrabina — do Teplic..

— O! jakże to się składa wybornie!.. I ja tam jadę...

— Ztamtąd mamy zamiar udać się do Drezna...

— Ja również...

Po raz pierwszy jesteśmy za granicą... — odezwała się hrabina z pospiechem niejakiem.

— Jeżeli państwo pozwolicie, ażeby im służyć za przewodnika...

— Ach!.. i gdzie też...

— Będzie to dla mnie przyjemność rzeczywista...

— Subjekcja...

— Najmniejsza... Gdybym jechał dokąd-indejj i dla państwa drogę nakładał, byłoby to co innego, ale.. w tęż samą jadę stronę i na tym samym wózku... Wszak państwo, rozumie się, klasą pierwszą?..

— Najpierwszą... — była odpowiedź hrabicza.

— Pytanie tylko: kiedy państwo Kraków opuszczacie?..

— Jutro...

— Wybornie!.. porannym, rozumie się, po-
ciągami... A więc: do zobaczyska... spotkamy się
na dworcu.. Adieu...

Podał rękę hrabinie, podał rękę hrabiemu,
hrabiance skłonił się zdaleka i powrócił do sztuki-
kamięsy i *Czasu*.

Przy stole hrabstwa zawiązała się rozmowa
jakaś półgłosem, która się rozpoczęła od strofo-
wań skierowanych do Fredzia. Chłopak bronił się
minami. To nos krzywił, to język wystawiał, to
usta wywracał, to oczy przymrużał i wyłamywał
się dziwacznie na siedzeniu, przyjmując niechętnie
napominania matki, niechętniej jednak jeszcze
uwagi siostry. Gdy ta ostatnia mówiła, patrzył
w sufit i poskakując na krześle, śpiewał sobie
pod nosem:

— Sowa... żaba... ropucha... chacha... chacha...

— Wstydz się, Fredziuniu... — obły się
o uszy moje słowa hrabiny — wstydz się, w taki
sposób odzywać się do Juleczki, do siostry, do
kobiety...

— To nie do niej.. to refrenik ulubionej
mojej piosneczki: sowa... żaba... ropucha... cha-
cha... chacha... Kto mi śpiewać zabroni!.. Sowa...
żaba... ropucha... chacha... chacha... Juleczka ko-
chana, słoną nadziana... nana... nana...

Luby chłopczyzna!

II.

W sposób, w poprzednim opisanym rozdziale, zabrałem znajomość z osobistościami, które powieści niniejszej za wiązanie służą. Dowiedziałem się o istnieniu hrabiostwa Dzierzejewskich z Motowidła i na żywe oczy oglądałem znakomitość. Po obiedzie, deptając bruk krakowski, mający własność budzenia wspomnień przeszłości, zapomniałem o nich. Sprezentowali mi się raz jeszcze nazajutrz, na dworcu kolei, ale że jechali klasą pierwszą, więc tylko się przesunęli przed oczami mojemu. Hrabiostwu towarzyszył Jan Babtysta. Tyle ich widziałem. Wpadli w odmęt. Oni dla mnie byli niczem; ja dla nich byłem niczem; uniósł nas wprawdzie jeden i ten sam pociąg, ale na to żeby rozdzielić aż do spotkania się na polach Elizejskich. Nie zamarzyłem o hrabiance nawet, która mi w oko wpadła. Rozstaliśmy się, nieznajomi, z nieznajomymi, — bez żalu bez tęsknoty, bez... chciałem powiedzieć, wspomnień, gdyby mi w pamięć nie wryła się postać Fredzia, przedstawiająca sobą typ chłopaka dobrze wychowanego. Postać ta pamiętną mi się stała tak

dalece, że ile razy spotkać mi się zdarzyło młodzieńca w guście podobnym, zawsze młody hrabia Alfred Dzierzejewski na myśl mi przychodził i wyprowadzał za sobą postacie starego hrabiego, hrabiny, hrabiny i pana Wurskiego. I byłiby oni wszyscy w Letę dla mnie wpadli, gdybym się w lat kilka później nie zeszedł z jednym z moich starych i dobrych znajomych, który mi ich wszystkich przypomniał. Z przypomnienia wysnuło się opowiadanie. To opowiadanie jest osnową powieści niniejszej.

Znajomy mój wymienił nazwisko: Dzierzejewski.

— Hrabia... — dodałem.

— Eh!... hrabia... — odparł z gniewem. Jaki hrabia!...

— Taki, jak i inni..

— Zapewne... — odrzekł. Ale proszę ciebie, wytłumacz mi rzecz jedną, fenomen jeden, rażący nielogicznością. Ty, co się piórem bawisz, a zatem i z książkami masz do czynienia i myśleniu się niekiedy oddajesz, wiedzieć byś powinien, dla czego odstępują od tradycji ci właśnie, co tradycji najmocniej hołdują... dlaczego wyznawcy przeszłości na przeszłość plwają?... Wszak kokoszą wojnę sprowadziły tytuły; wszak konstytucje 1638 i 1641 zabraniają wprost, konstytucja zaś 1673 zabrania pod karą *perpetua infamiae* używania tytułów cudzoziemskich; wszak

sejm 1738 ponowił i potwierdził tę ustawę, którą zaprzysięgał (1764) Stanisław August w paktach konwentach... Powiedz-że ty mnie — kończył mój znajomy — zkąd to pochodzi, że najgorliwsi tradycji wszelakich wyznawce, dla tej jednej wyjątek czynią?...

— Ułomność natury ludzkiej... -- odpowiedziałem...

— Ułomność!.. burknął. Brak logiki...

— Właśnie brak logiki jest ułomności najczystszy wyrazem... Pamiętają o jednym, zapominają o drugim, stosownie do tego, jak im wydaje się, że będzie wygodniej, dogodniej, korzystniej, bezpieczniej lub piękniej.. Gdyby, na przykład, Dzierzejewski nie był tego przekonania, że mu z tytułem hrabiiego do twarzy, z pewnością by takowego nie używał...

Znajomy mój śmiechem parsknął i opowiadać zaczął.

Opowiadanie to uplastyczyło mi — że się tak wyrażę — postać hrabiiego Roderyka Dzierzejewskiego, zesłego na nice potomka rodu, który zajmował krzesła w senacie, dzierzył buławy i pastorały, służył sprawie publicznej orężem i radą i zmarniał, zsunął się na reprezentanta jedyne go, będącego obrazem niedołęztwa umysłowego skończonego, połączonego z uporem kozlim i z egoizmem zakrawającym na dumę pańską. Hrabia Roderyk pojął za żonę hrabiankę

Anielę Przytrzymalską. Ta wniosła mu posażek całe okrągły, za pomocą którego zaokrąglił się mająteczek, będący resztkami znacznej niegdys fortuny, którą dziad zaczął, ojciec zaś hrabiego Roderyka dokończył trwonić. Ojciec tem się jeno odznaczył, że dzięki pewnej usłudze podejrzanej, która dwanaście na raz familji uhrabiła, nadał nazwisku swemu splendor tytułu, umierając zaś, mógłby śmiało zostawić testament tej treści:

„Suknie sługom,
Majątek długom,
Hrabstwo synowi
I.. bądźcie zdrowi.“

I kręto było, bardzo kręto koło hrabiego Roderyka — tem gorzej że się od napastujących go ze wszech stron wierzycieli bronić nie umiał; i byłby go spotkał koniec bardzo smutny, gdyby mu z pomocą nie pospieszył hrabia Przytrzymalski.

Hrabia ów należał do odmiennego gatunku ludzi. Z podstarościego wyszedł na dziedzica; raz zaś na dziedzictwie, nie chciał pozostawać w warstwie spodniej, nie żałował starań ni grosza, stworzył sobie przodków, powynajdywał dokumenta i stanął na równi z innymi. Kosztowało go to, jak sam powiadał, „summy neaopoli-
tańskie“.

— Tysiąc reńskich na prawo, tysiąc na lewo... — słowa jego. Sto tu, sto tam... Plułem

nie inaczej, mości dobrodzieju, tylko reńskiemii...
Co poświęceń!... co ofiar!...

I dopiął swego Cóż jednak! Dopiął swego przez pól. Hrabia został w obliczu prawa, ale nie w obliczu opinii publicznej w okolicy swojej. Tacy jak Dzierzejewski czuli się w nim i przez niego upokorzeni i nie mogli mu upokorzenia tego darować. Hrabstwo postawiło hrabiego Przytrzymalskiego w powietrzu niby. Nie mógł się ani do nieba dostać, ani na ziemię zejść; tych, z pośredka których wyszedł, sam unikał; ci, pomiędzy których wszedł, jego nie chcieli. Zrozumieć nie mógł położenia własnego i irytował się, a irytował się tem mocniej, że dynastia hrabiów Przytrzymalskich od niego się zaczynała i na nim kończyła. Syn mu umarł i do odziedziczenia tytułu, przywiązanego do familii, nie zaś — jak w krajach gdzie tytuły mają pewną rację — do ziemi — pozostawała córka jedynaczka — hrabianka Przytrzymalska.

— Na!., masz go!... — mawiał nieraz, myśląc o hrabstwie swoim — zejde z tego świata i wszystko diabli wezmą ..

Słyszał że w Anglii kobiety wnoszą tytuły mężom. Udał się do adwokatów, próbując czy nie daloby się rzeczy urządzić „na kopyto angielskie“ i po długich staraniach, po wydaniu znacznej kwoty reńskich, dowiedział się, że to zrobicy się dało, ale przenosząc tytuł z familii

na wieś i zmieniając stosownie nazwisko, uzyskawszy do tego specjalny patent. Musiałby się zrzec nazwiska własnego a nazywać się, po polsku „hrabia na Motowidle“, po francusku „comte de Motowidło“, po niemiecku „Graf von Motowidło“. To nic jednak; zgodziłby się na to; poniosłszy ofiary na Przytrzymalskiego, poniósłby chętnie i na de Motowidło; ale zachodził wzgląd jeden, na który obojętnym być nie mógł: zachodziła mianowicie ta okoliczność, że, uhrabivszy Motowidło, musiałby się z Motowidłem pożegnać.

— Co, mości dobrodzieju?... he?... - pytał adwokata o radę.

— Moja rada: próbować... Sprawa będzie ciekawa i ważna; gdy się bowiem rozstrzygnie pomyślnie, stanie się precedensem, który spowodzi następstwa... Pan hrabia zostaniez dobroczyńcą naszej arystokracji, pozostającej bez gruntu pod nogami: dasz jej grunt... Tytuły tytułowanych naszych za podstawę mają świstki, nie innego tylko świstki... Niech więc pan hrabia próbuje, na ziemię, na grunt, na podstawę pewną a niewzruszoną przenieść świstek...

-- Dobrze... — odrzekł hrabia — co jednak będzie, jeżeli, podczas gdy ja dla świstków podstawę wyrabiać będę, Motowidło mi z rąk świśnie?...

— A!.. — odparł adwokat, ramionami ścisnąc. Trzeba się obrachować...

Hrabia Przytrzymalski obrachował się i rzecz w odwłokę puścił, z czasem zaniechał jej całkowicie. Powód zaniechania znalazł się w logice. Ponieważ zgodził się był nazwisko „Przytrzymalski“ zmienić na „de Motowidło“, zatem żadna dobra racja nie przeszkadzała zmienić je na inne jakie, byle tytułem przyozdobione. Tu jednak znajdował się sęk do rozbicia nieco trudny. Hrabiczowie w owych pierwotnej kreacji czasach nie byli jeszcze tak dalece na posagi zgłodniali, jak to się trafia obecnie, nie pchali się tak do lada Motowidła. Polowanie na posagi odbywało się w kniejach lepiej podszytych, ojcowie zaś i matki okazywali drażliwość niesłychaną we względzie mezaliansów, których się wystrzegano, jak grzechów śmiertelnych. Przytrzymalski przeto, acz hrabia, ale hrabia z podstarościch, nie mógł liczyć na konkurenta do córki swojej ze sfery hrabiowskiej. To też, hrabia Roderyk znalazł się, jakby stworzony dla niego umyślnie. Hrabia Przytrzymalski zgłosił się do niego w momencie stanowczym, kiedy ten, obarczony przez wierzycieli a przygnieciony rachunkami, zabłąkał się w labiryncie i wyjść nie umiał, drząc za każdym turkotem zwiastującym mu gościa nowego.

Oj, goście-ż to byli!...

Hrabia Roderyk przyjmował ich zrazu i wymyślił był sobie odpowiedź, którą każdemu dawał:

— Ja nie wiem o niczem.. Ja wiedzieć nie chcę o długi żadnym...

— Ależ skrypt, panie hrabio!... rewers jak byk!...

— Ja nie... Jam nie dawał żadnego skryptu, żadnego rewersu, żadnego byka...

— Nie pan hrabia, ale świętej pamięci ojciec pana hrabiego...

— To mój ojciec, ale nie ja... Niechże więc ojciec mój...

— Ha ha!... ho ho!... — grzmiał kredytor. Jeżeli tak, to droga dla mnie otwarta... Wyduszę z ciebie, mości hrabio, wszystko, tak że ci jeno hrabstwo zostanie...

Ponieważ wybieg ten, acz dosyć dowcipny, nie udawał się, więc się hrabia Roderyk wziął na inny. Jak tylko turkot gościa miarkował, wnet uciekał i chował się. Chował się dobrze — do piwnicy — i sługom mówić kazał, że hrabiego w domu nie ma. Wiadomo jednak, co to są sługi nasze. Narzeka się na nie nie od dziś i nie od wczoraj. Lokaje powiadali, że hrabiego w domu nie ma i pozostawali przy tem dla tego jedynie, że ich nie naciskano. Wierzyście zaś nie nalegali, im bowiem nie chodziło o to wcale, ażeby się z młodym hrabią widzieć koniecznie. Długi odnosiły się nie do osobistości, a do majątku. Inaczej jednak wypadło, gdy przybył hrabia Przytrzymalski. Ten miał nie do majątku, a do oso-

bistości interes, nie zadowolnił się więc odpowiedzią, jaką mu lokaj na pierwsze dał zapytanie.

— Nie ma, powiadasz... — rzekł. Hm... Nie ma w domu... Gdzież jest?...

— Proszę jaśnie pana...

— Gdzieś przecie być musi...

— No... a... jużci...

— Pojechał?...

Lokaj na to odpowiedział milczeniem, wykrzywiając gębę i z nogi na nogę przestępując.

— Nie pojechał?...

— Jużciż nie, proszę jaśnie pana...

— Więc poszedł?...

— Jużciż tak, proszę jaśnie pana..

— Poszedł?... mów wyraźnie...

— Poszedł...

— Dokąd?... na polowanie?...

— Aha!... nasz młody pan hrabia taki do polowania, jak...

— Jak co?...

— Jak... z przeproszeniem jaśnie pana... jak, nie wiem co...

— Dokądże poszedł?... Do ekonomówny może, w koperczaki?...

— Chi chi chi — zaśmiał się lokaj, głowę na bok odwracając.

— Macie tu, słyzałem ekonomównę, niby orzeszek łuszcza...

— A niczego sobie...

— Więc może młody hrabia cholewki do niej smali...

— O!... co to, to nie... Miałaby ona czas postarzyć się, odmłodzić i znów się postarzyć, zanimby się nasz hrabia namyślił nad smaleniem cholewek do niej...

— Poszedł tedy do ogrodu?...

— Do ogrodu?... ale gdzieżtam!...

— Dokądże więc?... Jeżeli nigdzie nie pojechał, nigdzie nie poszedł, w powietrze nie wyleciał, a zatem schować się musiał...

— Nu, jużci...

— Schował się?...

— Nu tak, proszę jaśnie pana... Schował się do piwnicy, bo to, proszę jaśnie pana, napastują pana hrabiego... a!... niech pan Bóg i Matka przenaświętsza broni!...

— Kredytorowie?... co?...

— Nu, jużci, proszę jaśnie pana... któżby inny...

— Pójdźże do pana hrabiego i powiedz mu, że przyjechał napastnik innego rodzaju, nie kredytor, hrabia Andrzej Przytrzymalski, który pragnie widzieć się z nim w jego własnym interesie...

Lokaj odszedł, nie było go przez chwilę, powrócił wreszcie z odpowiedzią, że hrabiego Roderyka nie ma.

— Mówiłeś mu, że przyjeżdżam w jego własnym interesie?...

— To bo to jest... Jakiem tylko o interesie wspomniał, jak na mnie nie zakrzyczy: Nie ma w domu!... nie ma w domu!... nie ma w domu!...

— Hum!...! — mruknął hrabia Przytrzymalski. Pójdźże i powiedz, że hrabia Przytrzymalski żadnego nie ma interesu...

— Może by jaśnie pan sam pofatygować się zechciał...

— A!... hę?... Dobrze... Pokaż-że mi drogę...

Hrabia Roderyk, usłyszawszy wejście czyjeś i myśląc zapewne że to lokaj, stanął po środku w postawie imponującej; spostrzegłszy jednak że to ktoś obcy, przysiadł nagle, smyknął za heczkę i wsunął się we framugę. Gość widział ten manewr, usmiechnął się i szedł dalej, a zatrzymawszy się przed framugą, przemówił głośno:

— Panu hrabiemu dobrodziejowi!...

Hrabia Roderyk obejrzał się po za siebie, jakby wypatrując ażali nie ma tam gdzie dziury, zdolnej schronić osobistość jego; nieznalazłszy jednak takowej, wysunął się, stanął, w oczy przybyszowi spojrzął i zaczął:

— Jak Boga kocham, to nie ja, to papa... Ja nigdy w życiu nie dawałem, nie wystawiałem, nie podpisywałem żadnego skryptu, żadnego rewersu, żadnego byka... Jak pana Boga kocham!...

Powiedziawszy to, nosem czmychać począł, jakby mu co zatkało kanał organu powonienia.

— Panu hrabiemu dobrodziejowi!... — powtórzył hrabia Andrzej, puszczając mimo uszów przemówienie gospodarza domu. Ja tu sobie po prostu z wizytą sąsiedzka... Dowiedziawszy się, żeś się hrabia schował...

— Ja się schował?... — przerwał hrabia Roderyk.

— Dowiedziawszy się, żeś się hrabia ukrył..

— Ja się ukrył?.. Jak Boga kocham...

— Dowiedziawszy się, żeś się hrabia schronił od much... — poprawił się pospiesznie hrabia Andrzej — postanowiłem odszukać go i schronienie z nim podzielić...

— Ja, jak Boga kocham, nie winien nic nikomu... nic nie mam ani do oddawania, ani do dawania..

— Ba... alboż to ja utrzymuję co innego... Ja pod tym względem tak dalece odmiennej jestem opinii, iż sam mam hrabiemu coś do dania...

Czmychając nosem, hrabia Roderyk wpatrzył się w hrabiego Andrzeja z wyrazem nie małego zadziwienia w oczach. Po chwili rzekł:

— A to!..

— A tak... mam coś do dania...

— Mnie?...

— Tak, panu, mości hrabio..

Hrabia Roderyk czmychnął podwójnie nosem razy kilka. Widocznem było wrażenie, jakie na niego słowa hrabiego Andrzeja wywarły; widocznem oraz było, że ten z wrażenia korzystać chce, dodał bowiem z pośpiechem:

— Ale potrzeba żebyśmy wyszli z piwnicy, pomimo że tu tak dobrze, tak chłodno, tak much nie ma.. Chodźmy..

Hrabia Roderyk nosem czmychnął.

— Chodźmy, hrabio..

— Thu thu... ależ, kiedyż bo tam... kto wie, czy... thu thu... nie ma kogo takiego co wziąć chce..

— I... ktoby też tam był!.. A zresztą, chociażby i był, to pan hrabia, ja hrabia, hrabiów dwóch gdy czoło postawi, to... hm... niech kto wziąć co spróbuje!..

Przy słowach tych, wcisnął hrabiemu Roderykowi rękę pod ramię i wyprowadził go na światło dzienne, na którem, jak na toż, trzech naraz wierzycieli drogę im zastąpiło.

— Co to?... — zapytał hrabia Andrzej.

Wierzyciele, w tonie na impertynencję zakrawającym, pretensje swoje przedstawili.

— Precz!..

— Ehe!.. — zawołał jeden. Precz?..

— Precz!.. — krzyknął hrabia Andrzej,

przytrzymując hrabiego Roderyka, który rwał się do piwnicy z powrotem. Nie ma tu do dawania nic!.. Na drogę prawa!.. na drogę prawa!.. a nie, to psami wyszczuć każę!.. Hej!..

Ostatni wykrzyknik stosował się do sług i znamionował, że pogróżka bliską jest urzeczywistnienia. Wierzyciele, uszy jeno po sobie złożyli i wynieśli się.

— A co!.. — odezwał się hrabia Andrzej. Co dwóch hrabiów, to nie jeden...

Hrabia Roderyk śmiał się po cichu śmiechem urywanym:

— Chi chi... chi chi... chi chi chi...

Obrót, jaki rzecz wzięła, widocznie mu wielkie sprawił zadowolenie. Wyśmiawszy się, nosem czmychał.

— Teraz zaś — zaczął hrabia Andrzej — oto co zrobimy... Pojedziemy...

— Dokąd?...

— Do mnie.. Tam ci żaden kredytor w oczy nie spojrzy... Siądziesz ze mną do pojazdu, swemu zaś pojazdowi później przyjąć każesz...

Wsunął mu rękę pod ramię, poprowadził, do powozu, wsadził i uwiózł.

W Motowidle otoczono gościa względami i nadszkiepcami. Hrabia Roderyk nosem czmychał i rad był foldze, jakiej doznawał przez ciąg kilkodniowego pobytu pod gościnną strzechą.

Sam powrót do domu zwlekał, odkładając takowy od dnia do dnia. Podobało mu się w Motowidle, nie dla tego że była tam przejrzysta panna na wydaniu, na którą on patrzył z ukosa i która się do niego wcale nie odzywała, ale dla tego, że go kredytorowie nie nagabywali. Oddychał piersią pełną, szeroko, na wzór Farysa w Arabistanie, gdy huragan zwalczony u stóp jego legł, i oddychałby tak Bóg wie jak długo, gdyby go hrabia Andrzej nie ocucił.

— No cóż hrabio... — zapytał ten ostatni razu pewnego — ciekawys wiedzieć, co ci do dania mam?...

— Thm thm... ja?... ciekawy?

— No tak... Wiesz przecie, że ci coś dać obiecał...

— To jest... thm... wiem przecie...

— Cóż?... jak ci się zdaje?...

— Mnie się nic nie zdaje... Mnie... thm thm...

— Chciałbyś jednak dowiedzieć się na koniec?...

— To jest... tak... thm... na koniec...

— Owóż, mam ci do dania pannę Emilję, córkę moją jedynaczkę... Chcesz... bierz; nie chcesz... wracaj na pastwę wierzycieli...

— Thm... thm... — odczmychnął powoli hrabia Roderyk.

— Jakże się decydujesz?... he?...

— Thm... thm...

— Wolisz mieć żonę, czy wierzycieli na

karku?... Z żoną, widzisz, dostanie ci się Moto-
widło, a przytem, ja się do interesów twoich
wezmę i potrafię coś tam kredytorom z paszczy
wykręcić... Będę się z nimi sam ujadał, ciebie
o nic głowa nie zaboli.. Ty mi tylko plenipo-
tencję dasz...

— Ja... dać?... za nic!... — zawołał hrabia
Roderyk z przerażeniem.

— Podpiszesz...

— Podpisać?... nie!...

— Więc imię i nazwisko swoje u spodu
półarkusza białego papieru nakreślisz...

— Thm... thm...

Zaręczyny i po zaręczynach ślub odbyły
się następnie gładko. Teść, na mocy nakreślo-
nego na czystym papierze imienia i nazwiska,
zajął się interesami zięcia szczerze i z dóbr roz-
ległych potrafił dla niego oczyścić wioskę jedną,
w której państwo młodzi zamieszkali, i zamie-
szkiwali w niej, aż do śmierci hrabiego An-
drzeja. Hrabia Andrzej dopiął swego, hrabstwo
córce pozostawiając; doczekał się jeszcze i tej
pociechy, że piastował wnuczkę, hrabiankę Ju-
leczkę i wnuka, hrabiego Fredzia.

III.

Powieść niniejsza zasługuje zaiste na to, ażeby stworzyć dla niej osobną kategorię powieściową — kategorię „dobrego tonu.“ Spodziewać się należy, że to nastąpi: dzięki bowiem dwóm rozdziałom początkowym, których czytelnicy, domyślając się w nich wstępu ukrytego lub przedmowy zamaskowanej, czytać zapewne nie będą, powieść niniejsza kwalifikuje się do wprowadzenia nowego na literaturę powieściową poglądu. Czytelnicy czytać nie będą: rozdziały te atoli przeczyta krytyk głęboki, recenzent bystry, sprawozdawca sumienny i, resztę w trąbę puszczając, wyda wedle nich sumienne o całości orzeczenie. *Sic itur ad astra.* Cieszy mnie to niezmiernie. Zdobęde dla siebie odrębne w literaturze stanowisko, a to nie dla czego innego, jeńo dla tego, że w dwóch rozdziałach, przeznaczonych specjalnie dla sprawozdawców, wyprowadzam na scenę... samych hrabiów.

Hrabiowie zaś, hrabiny, hrabianki, toć to..
dobry ton.

Dobry ton — powiadam; nie powiadam zaś, ani szlachetność — ta znajdować się może przy tonie najgorszym, ani też rycerskość, która styczności najmniejszej nie ma z tytułem, wprowadzonym do społeczeństwa polskiego drogą wcale nie rycerską. Dla tego też hrabia Roderyk odpowiada tytułowi, łącząc w osobie swojej nierycerskość i ton dobry.

Nie rycerz to był. Był to hrabia — hrabia gębą całą: przestrzegający godności osobistej, napsuszony pomimo wzrost mały, milczący pomimo iż mógłby gadać dużo, zadumany pomimo iż dumać nie miał o czem, zagadkowy pomimo że do odgadnienia był łatwym — poważny przy przy tem wszystkim. Powaga wynika z zalet powyższych, jak skutek wszelki wynika ze zbiegu przyczyn różnych. Pomędzy przyczynami atoli jedna — mianowicie milczenie — wielką hrabiemu oddawała przysługę. Milczenie podejrzawać go kazało o głębokość jakowąś. „Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi“ — głosi przysłowie. Owóż wiedziano, że ojciec hrabiego, człowiek w świecie bywały, wolterjanin, jakimi byli wszyscy prawie jego kalibru szlachcice w pierwszej ćwierci wieku dziewiętnastego, a więc farmazon i jako taki z książkami oznajomiony, odznaczał się rozmownością. Wiedziano, że nieboszczyk pozostawił księgozbiór nie mały. Przypuszczano przeto, że hrabia Roderyk coś od ojca przejąć musiał, że

coś w księgach wygrzebał: tajemnicę jakąś — i nad tajemnicą tą zadumała się dusza jego.

— Cicha woda brzegi rwie...

— Aha ha!... — powiadano — nie taki on głupi, jak się zdaje... Głupi nie zdołałby przy Czeluścinie się utrzymać...

Czeluścinem nazywała się wioska, którą hrabia Andrzej uratował dla zięcia z rozbicia majątkowego.

— Nie jego to dzieło, a teścia... — replikowali bliżej z interesami oświadczeni.

— Zapewne... aleć nie kto inny, tylko on sam teścia sobie dobrał takiego... Ludwik XIV. wielkim był nie przez samego siebie, ale przez ministrów swoich...

W ten sposób wyrażał się, we względzie pana na Czeluścinie i na Motowidle, *vox populi*, do którego, rzecz dziwna! przyłączała się własna hrabiego Roderyka małżonka. I jej przedstawiał się on pod postacią głębi niezsondowanej. Była to osobliwość w rodzaju swoim — osobliwość z tego względu, że, jak wiadomo, najwięksi ludzie maleją w oczach bliskich swoich. Brak perspektywy odpowiedniej sprowadza ich do rozmiarów śmiertelników zwyczajnych; brak szkieł na oczach wykazuje ich pod postacią pospolitości powszedniej. Każdy niemal Sokrates miał Ksantypę, co mu głowę myła. Wyjątki w tym względzie są

rzadkie i do takowych należał rodzic hrabianki Julji i hrabiczka Alfreda.

Szczęśliwy człowiek!

Szczęście tego rodzaju określa jedno z przysłów ludowych:

„Szczęśliwy dureń, niczym sia ne żuryt',
jiśt', pje, spyt' i lulku kuryt'.”

Hrabia Roderyk nie turbował się niczem: jadł, pił, spał, lulkę kurzył — wedle przysłowia; zachowywał się przytem zagadkowo względem wszystkich: względem znajomych, sąsiadów, bliższych i dalszych krewnych, względem oficyalistów, sług i żony własnej. Względem tej zwłaszcza ostatniej odegrywał rolę istnej Pythonissy, co nie pozostawało bez następstw, występujących pod rozmaitemi w pożyciu małżeńskim postaciami.

I tak, naprzykład:

Dał im Bóg dzieciak dwoje, które, wzorem wszystkich na świecie dzieciak, podrastały i rozwijały się stopniowo. Nic nie znaczyło, że były to hrabięta. Podrastały i rozwijały się jak chłopięta. Dziewczynka, o pięć lat starsza, wyprzedzała chłopczyka, kiedy ten miał roczek, ta miała lat sześć, ten dwa latka, ta lat siedem, ten trzy, ta ośm i t. d., aż wybiła dla niej ta godzina, dla dzieci i dla rodziców zarówno ważna, w której przychodzi chwila rozpoczęcia nauki. W chwili owej, jak zawsze, hrabia milczał zagadkowo.

Hrabina starała się męża sondować. Nadaremnie jednak.

— Należałoby z Julią coś pomyśleć... — zaczęła.

— Thm... thm... — była odpowiedź niezmienna.

— Czy oddać ją na pensję, czy dawać jej wychowanie domowe?...

— Thm... thm...

Głębokość nie dawała się na wierzch wydobyc, i byłaby, koniec końcem, hrabina nie wiedziała, co począć, gdyby los nie sprowadził do Czeluścina jegomości ze stolicy, który spadł niby z nieba, pomimo że przyjechał z rewersem, podpisanym przez ojca hrabiego Roderyka. Działo się to jeszcze za życia hrabiego Andrzeja. Hrabia Andrzej pospieszył natychmiast z interwencją. Parę pogadanek ubiło sprawę i zmieniło wierzyciela w gościa, który zabawił dni kilka. Gość ów był nie sam. Towarzyszył mu syn, chłopak lat szesnastu, elegancki, szarmancki, grzeczny, dobrze wychowany, tak dalece dobrze ojca zalecający, że hrabina zwierzyła się przed eks-wierzycielem we względzie frasunku, w jaki ją wprawia kwestja wychowania córki.

— O pani!... jestto kwestja do rozwiązania nie tak trudna, jak się wydaie...

— W mieście... — podchwyciła hrabina. Na wsi jednak...

— Na wsi... zapewne... trudniej nieco, ale, ostatecznie, zależy to od wyobrażenia, jakie mamy o edukacji... Inaczej wychowuje się dzieci na filozofów, inaczej na ludzi przyzwoitych i porządnym... Czy pani chciałaby hrabiankę na sawantkę wykierować? ..

— Boże uchowaj!...

— A więc, należy dać jej polor... Talenta i język francuski...

— Czy oddać ją na pensję, czy dawać jej wychowanie domowe?

— Co do mnie, jestem za wychowaniem domowem, dla kobiet zwłaszcza... Na pensjach i w szkołach zatracą młodzież poczucie godności osobistej... pospolituje się... Dom usuwa to niebezpieczeństwo... Chodzi tylko o to, ażeby wyszukać guwernantkę, posiadającą dobrze język francuski i muzykę... Oto wszystko... Resztę dopełni czytanie książek... Edukacja tego rodzaju jest to klucz, za pomocą którego otwiera się przystęp do skarbów dwóch literatur: francuskiej i polskiej... Czytanie z bogacza umysł... Czytać, czytać i czytać: na tem cała sztuka...

— Radzisz więc pan dobrodzieju edukację domową?..

— Stanowczo, pani hrabino dobrodziejko...

— I dla chłopca?..

— I dla chłopca... Mego Jasia nigdzie do

szkół nie oddawałem... A czegoż od niego chcieć?..
Wiersze nawet pisze, i to nie lada jakie...

Skinął na syna. Chłopak zbliżył się w zgrabnym poskoku.

— Pani hrabina pozwoli?... — zapytał ojciec.

— I owszem...

— Zadeklamuj co swego...

Młody człowiek wielki palec od lewej ręki za kamizelkę włożył, nogę prawą naprzód nieco wysunął i zaczął:

— Na dolinie strumień płynie, a się

Nad strumieniem jagnię pasie,

Zaś w krzewinie, tam przy młynie słowi-

Czek wtoruje strumieniowi... I t. d.

Była to jakaś pastorella, która się wielce hrabinie podobała, a zarazem przekonała ją, że w rzeczy samej, wychowanie dobre nie koniecznie szkół wymaga.

Gość odjechał i nie pokazał się więcej. Hrabia Andrzej umarł. Hrabiowstwo Roderykowstwo przenieśli się do Motowidła, zamieszkując w pałacu, gdzie rozpoczęła się i skończyła edukacja panny Julji, którą mam zaszczyt przedstawić czytelnikowi, jako bohaterkę powieści niniejszej.

Edukacja ta odbywała się pod dwojakim naciskiem: pod wpływem skazówek gościa, którego syn tak świetnie się popisował i pod wpływem milczenia hrabiego, któremu dogodzenie uważała hrabina za rozwiązanie zagadki. Pałac tedy

motowidłowski zaludnił się guwernantkami i guwernerami i zapelnił książkami. Edukacja postępowała żwawo. Mowa nadsekwańska brzmiała rozgłośnie, mieszając się z narzeczaniami języków słowiańskich, a echa gamm i etiud wtór trzymały spiewowi słowików, szczebiotaniu skowronków, skrzeczeniu żab i pianiu kogutów.

Julisia korzystała.

Julisia korzystała rzeczywiście, dzięki, nie edukacji, a zdolnościom wrodzonym, jakimi ją natura obdarzyła.

Zdolności wrodzone stanowią dźwignię potężną w odniesieniu do postępu w ogóle, a zarazem i prezerwatywę pewną we względzie zatrzymań e lukacyjnych. Boć edukacja edukacji nie jest równą. Jedna ma na celu zaopatrzenie człowieka w narzędzia potrzebne do uprawiania niwy postępu i rozwinięcia w nim przez to samodzielności; druga ma na celu zadanie wręcz przeciwnie — zmienienie człowieka w narzędzie: zrobienie z niego marjonetki, poruszającej się za pomocą sprężynek, wprawionych w mózg i w serce. Ta ostatnia, zabytek czasów minionych, acz uznana za złą, szkodliwą i błędną, odegrywa jeszcze w stosunkach naszych rolę przeważną. Duch czasu, nacisk potrzeb, interesa ludzkości protestują przeciwko niej głosem wielkim. Pomimo to, trzymają się jej jeszcze oburącz, w wyższych zwłaszcza towarzystwa warstwach, trzymają się jej

i po domach i po szkołach, i edukacja, jaką bohaterka nasza otrzymała, była nie inną, jeno taką, jaka się daje papudze, sroce i pieskowi. Za pomocą sposobów pedagogicznych, nauczyła się czytać i pisać, nawet rachować, nauczyła się prowadzić rozmowę w języku Bossueta, odzywać się językiem Szopena, śpiewać, tańczyć, cęrować, szyć na kanwie, dziergać na tamburku, ubierać się i gości bawić. Czegoż chceć więcej? Wyczyła się wszystkiego — wszystkiego tego co na dziesięć mających córki do wychowania matek, dla dziesięciu stanowi przedmiot pragnień najgorętszych i marzeń najrozkoszniejszych. Stała się *presentable* w stopniu najwyższym. Nie było jej do zarzucenia nic. Powiadano o niej:

— Piękna, bogata i dobrze wychowana...

Z bratem jej wychowanie także same inaczej wypadło. Temu było do zarzucenia wszystko, z wyjątkiem jednej rzeczy, osobliwszej skłonności do rachunku, skutkiem której nie nauczył się niczego, tylko liczenia. Liczył doskonale. Nie była to jednak zdolność matematyczna. Algebra i geometria, które mu guwerner wyklądać próbował, nie zajmowały go wcale, jak również nie zajmowały go działania z liczbami, jeżeli takowe nie wyrażały operacyj pieniężnych. Potęgę jego umysłową stanowił pieniądz, dodawany, odciągany, mnożony, dzielony, następnie zaś procentowany, z wyraźnem oznaczeniem celu.

— Dodaję dla siebie, odciągam dla Julci...
Mnożę sobie, dzielę Julci...

Bawiło go to wielce. Przy stole, kiedy z rodzicami zasiadał do obiadu lub wieszery, kiwał się i z pamięci rozwiązywał zadania różne, dowiadując się przytem ciekawie o sposoby niearytmetyczne dodawania i mnożenia. Zajmowały go niesłychanie przedmioty rozmów, osnuwające się około zrobienia majątku, wygrania na loterji, wygrania w karty; zajmowały go rodzaje pieniędzy, miedzianych, srebrnych, złotych, papierowych, tych zwłaszcza ostatnich, które szczególnie na wyobraźnię jego działały i osobliwy dla niego urok miały. Marzył o znalezionych skarbach, o wujaszkach w Indjach i w Ameryce, o snach proroczych. Żadne barwy tak mu się nie podobaly, ile barwy na papierach wartościowych; żadne rysunki nie wywierały na niego wrażenia tak silnego, jak ilustracje na banknotach. Skłonność tę okazywał od pieluch niemal i, postępując w rozwoju umysłowym, w tym kierunku kształcił umysł, serce i wyobraźnię, mając siebie za punkt środkowy, około którego obracał się świat i wszystko co na świecie jest. Słowem, chłopiec ten wyrastał na człowieka wielkich nadziei, pomimo że nie umiał nic i, pomimo że *presentable* nie był. Brak ten ostatni pochodził ztąd, że, dzięki roztargnieniu, jakie mu w umyśle sprawiały rachunki, nie robił sobie nic z nikogo. Ojciec,

matka, siostra, guwernerowie, guwernantki, goście, słudzy, ludzie wszyscy przedstawiali się mu pod postacią tłumy istot rzędu niższego, wobec których zenować się ani obowiązku, ani potrzeby nie miał.

Droga ta, na którą wszedł młodzieńki dziedzie Motowidła, rozmaite na rodzicach jego sprawiała wrażenie. Ojciec milczał; matka się niepokoiła. Niepokój atoli hrabiny był bezimienny. Nie wiedziała, czego właściwie od syna chceć. Zdawało się jej, że Fredzio na jeden tylko choruje brak — na brak grzeczności. Ale:

— Otrze się, obędzie w świetle... — powiedała sobie — i uzupełni edukację... Zanim zaś to nastąpi... niech czyta..

Podsuwała mu książki; zarzucała go książkami, przeglądami, czasopismami naukowemi i literackimi, nieillustrowanemi i illustrowanemi, francuskimi i polskimi; zasypywała go gazetami.

W żadnym, z pewnością, w najbogatszym nawet domu polskim, tyle pism nie pfunerowano, ani tyle książek nie kupowano, co w pałacu motowidłowskiem. Panowała tam, we względzie tym, istna profuzja. W dniu każdym przybywał stós, przywołony z przety przez posłańca specjalnie do tego wyznaczonęgo i zalegał stól duży, postawiony na środku pokoju, wchodzącego w skład apartamentu, w którym odbywały się

nauki. Stos ten, gdyby na miejscu pozostawał, doszedłby w krótkim czasie do rozmiarów olbrzymich, gdyby zaś na pułki przechodził, zformowałby bibliotekę nie małą. Nie pozostawał na miejscu, nie przechodził na pułki i znikał. Znikanie stanowiło zagadkę, której połowa jedna w ten rozwiązywała się sposób, że pisma rozbierali czytelnicy, czytali i — co z nimi robili?.. Czytali—no — i cóż dalej?. Pisma znikaly. Zagadkę tę rozjaśnimy w dalszym opowiadania ciągu, tu zaś powiemy tylko, że książki i pisma najbardziej zajmujące nadaremnie ku sobie młodego hrabiego wabiły. Młody — okazał się w tym względzie wróblem starym: nie dał się na plewy wziąć. Nie czytywał wcale.

— Czytaj, Freduniu... — namawiała matka.

— Ach!... co mi tam... — odpowiadał.

— Takie rzeczy śliczne ..

— Romanse.. — powiadał z pogardą.

— Nie chcesz romansów... masz co innego...

Poezje...

— Wierszydła... — podchwytywał. Niżeli czytać wiersze, sam wolalbym takowe pisać...

Było by to zabawniej...

— Czyżbyś potrafił?..

— Owa... czemu nie!... Chce mama?..

Książki... drażki; pisać.. kołysać; czytać... zgrzytać... Zębami zgrzytać, a książki czytać, wychodzi to, mamó, na jedno i toż samo...

Biedna matka aż zachlipnęła się, powścią-
gając uradowanie, jakie w niej wywołała ta syna
odpowieź, nacechowana, w mniemaniu jej, jeżeli
nie czem innem, to dojrzałością przedwczesną,
świadcząco wielkiem młodziana uzdolnieniu. A kto
w nim uzdolnienie to rozwinął? Któż, jeżeli nie
ona! Pod jej przecież dyrekcją edukacja się od-
bywała. Widziała jednak we Fredziu strony uje-
mne. Ale:

-- Niechaj-no... — pocieszała się. Takie to
jeszcze młode!...

Nam się nie zdaje, ażeby Fredzio na dobrej
znajdował się drodze. Przeczuwała to potrosze i
hrabina; lecz, matka, tłumila w sobie przeczucia,
egzaltując tę stronę, która jej się dobrą wyda-
wała, a która rozwijała się we Fredziu bez pracy,
bez nauki, bez czytania, przychodząc sama przez
się, wypływając niby woda ze źródła.

Och! te matki... jakże też to często stają się
one wrogami dzieci własnych! Zdarza się to tem
częściej, że niestety! wychowanie w ogóle choruje
na brak jeden bardzo dotkliwy: na brak matek,
któreby same dobrze wychowane były. Matki
życzą dzieciom jaknajlepiej. Jestto pewnik dowo-
dzenia niepotrzebujący. Chodzi jednak o to, ażeby
z pewnikiem tym szło w parze pojmowanie rze-
czy, zdarzające się bardzo rzadko — bardzo
rzadko. I nie dziw. Zkąd-że bowiem wziąć by
się mogło to pojmowanie, będące ze wszystkiego,

co działalność ludzka obejmuje, rzeczą najważniejszą?... „Siła jest, rozumu nie ma“ — siła-miłość macierzyńska, ta objawiać się inaczej nie może, jak tylko przez uczynki; przez uczynki, powtarzamy, wymagające koniecznie ciągu logicznego, systemu, metody i sposobów odpowiednich, nie zwiewających się z powietrza i nie przycho-dzących w natchnieniu. Z wychowania wysnuwa się wychowanie, przelewając się z rodziców na dzieci. Miłość sama, dla tego właśnie że siłą jest, prowadzi do następstw bardzo smutnych, gdy się na pojmovaniu nie opiera.

Miłość hrabiny była siłą w osamotnieniu i dla tego to, co się Fredzia tyczy, tłumila w sobie niepokój, którego zrozumieć nie umiała, a cieszyła się zarówno tak Fredziem, jak Juleczką pomimo że Fredzio i Juleczka na odmiennych znajdowali się drogach.

Nic bardziej różnego być nie mogło, jak ten brat i ta siostra.

Fredzio nie czytał i roił — roił cyframi.

Juleczka czytała i myślała — myślała, pomimo że jej, jako istocie płci niewieściej, rojenie bardziej by do twarzy przypadalo, aniżeli bratu, i na dobry ład, powinna była pogрузić się w niem, idąc w tym względzie torem utartym przez czytelniczki zawzięte, mające zwyczaj modelować się wedle patronów książkowych.

Jednakże czytanie uratowało ją.

Czytała bowiem i myślała — co, powiedzmy nawiasem, nie zdarza się z czytelników każdemu, których ilość, co mówię! większość ogromna czyta, ale nie myśli.

Z czytaniem dzieje się tak zupełnie, jak z podróżami.

Co może być nad podróżę korzystniejszego? Co w stanie bardziej smak ukształcić, pojęcie rozwinąć, umysł z bogacić, jak oglądanie się po świecie, wśród ludzi i porównywanie tego co się widzi i słyszy z tem co w rodzinnem istnieje gnieździe? Co nad to pożyteczniejszego być może? Wszyscy ludzie znakomici podróżowali; każdy w swoim — że się tak wyrażę — stanie służby ma rubrykę wędrówek, zapelnioną zdobyczami na polu wiedzy. Przodkowie nasi synów swoich, dla uzupełnienia edukacji za granicę posyłali, i uważali to za rzecz tak potrzebną, że komu nie starczyło na odbywanie wędrówki jak należy, wyprawiał się piechotą — byle widzieć, byle słyszeć, byle się otrzeć i rozpatrzeć wśród ludzi. Wyciągnięcie atoli z podróży korzyści zależy od sposobu podróżowania, sposób zaś zależy od intencji. Jeżeli się jedzie w jedynym zabawienia się celu, to, jakże często się zdarza, że podróż, nie tylko korzyści nie przynosi najmniejszej, nie tylko do osiągnięcia celu nie prowadzi, ale szkodę sprawia! To samo dzieje się z czytaniem, będącem nie czem innem jak wędrówką — wędrówką

myśli i wyobraźni. Kto czyta — ot... dla tego tylko żeby się zabawić — dla zabicia czasu, dla polechtania imaginacji: temu często bardzo czytanie na złe się obraca. Korzyść onego, jak korzyść podróży, zależy przedewszystkiem od intencji. Na nic jest podróżowanie dla tryndania się: na nic czytanie dla zabijania czasu.

Panna Julja, pierwszą do ręki wzięwszy książkę, nie wiedziała do czego ją to doprowadzi: korzyści nie rozumiała, celu nie знаła.

Ale myślała.

Wędrowała, błędząc zrazu trochę; zwolna atoli a nieznacznie cel się urobił sam przez się, a urobił się w sposób taki, iż sama sobie sprawy z tego zdać nie umiała. Przyszło to jej niechcący ztąd, że, jak się zdaje, posiadała wrodzone poczucie piękna i poczucie dobra. Dwa te poczucia za przewodników jej służyły. Dzięki im odróżnić zdołała złe od dobrego, szkodliwe od korzystnego, zdołała odsiać plewę od ziarna i z tego ostatniego pożytek ciągnąć.

A czego ona nie czytała! Zaczęła od powieści i romansów, których pochłonęła ilość olbrzymią. Literatura powieściowa stała się dla niej przed-
sionkiem niejako, rozbudzając w niej ciekawość w czworakim względzie: we względzie geograficznym, we względzie historycznym, we względzie filozoficznym i we względzie społecznym. Inną na jej miejscu zadawałniałyby awantur gir-

landy, bukiety i rakiety; ją awantury zajmowały, lecz nie wyłącznie, nie bezwzględnie i nie bezwarunkowo — szukała w nich racyj, sprawdzała je co do miejsca, co do czasu i co do logicznej możliwości, i przez to, doznawała potrzeby posuwać się w zakresie czytania coraz głębiej, a co raz to głębiej. Interesowały ją historie podróży i odkryć; interesowały ją dzieje narodów; interesowały ją przyczyny i pobudki objawów życiowych, z których powieść sprawę zdawała, a z którymi w związku pozostają fakta naukowe: — słowem, powieść, dzięki intencji z jaką ją do ręki wzięła, posłużyła jej, jako podnieta ogólna do kształcenia smaku, rozwijania pojęć i zbogacania umysłu. Odbywała wędrówkę z korzyścią i pożytkiem, chociaż w zygzaki nieco, bez ładu i bez systemu. Ale nie jej to była wina. Czyż miała przewodnika? Przewodnik jej w niej znajdował się samej, i dla tego iść musiała po omacku, torując sobie drogę wśród sprzeczności różnych, jakie na każdym niemal napotykała kroku i które stanowiły edukacji jej uzupełnienie.

IV.

Pan Jan Babtysta Wurski należał do rodzaju ludzi dosyć w wieku naszym pospolitego. Francuzi rodzaj ten oznaczają wyrazem *faiseurs*. Wyraz ten, chcąc oddać po polsku, należałoby przetłumaczyć na „robiciele“. Nieosobliwie by to brzmiało, ale tu, słusność należy przyznać Krasińskiemu, który tę uczynił uwagę, że mowa polska jest za ubogą na oddawanie pojęć niektórych, mianowicie zaś pod względem rzeczowników. Niektóre z czasowników nie dają się na rzeczowniki odpowiednio przekształcić. Posiadamy, na przykład, tłumaczenie na wyraz „*voler*“ — „kraść“, a nie posiadamy na „*voleur*“; posiadamy tłumaczenie na wyraz „*faire*“ — „robić“, a nie posiadamy na *faiseur*.

Nie posiadamy rzeczownika; posiadamy jednak rzecz.

Faiseur'owie kręcą się pomiędzy nami i dochodzą nawet niekiedy do wysokiej w fachu swoim doskonałości.

— Cóż to za fach?... — kto zapyta.

Fach to do określenia trudny.

Faiseur jest wszystkim i niczem, nie jest to atoli rycearz przemysłowy (*chevalier d'industrie*), pomimo że posiada onego przymioty wszystkie; posiada jednak takowe w spotęgowaniu, w upiększeniu, w u..szlachetnieniu — powiedzieć chciałbym, gdybym pojęcie „szlachetność“ przywiązywał do powierzchowności, do prezencji, do tego posiadanego przez osobistości niektóre talentu, który polega na umiejętności sprzedawania siebie za dobrą cenę. *Faiseur* sprzedaje się także, ale inaczej. Handel jego osłaniają pozory, należące do rodzaju dobrego tonu. Na gruncie polskim, jest on odmianą szlachcica z dawnych czasów, co to sprzedawał zboże, las, siano, słomę, sieczkę, plewy, konie, woły, owce, miód, wosk, skóry, etc., etc., sprzedawał wszystko i nie zawsze uczciwie, a gotów był łeb rozbić każdemu, co by go o handel pomówił. Taka też zachodzi pomiędzy *chevalier d'industrie* a *faiseur*'em różnica, jak pomiędzy handlarzem, mierzącym łokciem lub kwartą, a szlachcicem, sprzedającym produkta rolne i przychówek za dobrą cenę.

Pan Wurski umiał się *faire valoir*, umiał się cenić — umiał wysuwać naprzód różne talenta swoje i zalety w sposób taki, że się zdawało, że głową i sercem górował nad tłumem śmiertelników zwyczajnych. W tym względzie przyrównać by go można do ludzi, co to modlić się umieją,

lokując się w kościele tak i taką przybierając postawę, że ogół jednogłośnie okrzykuje ich za najnabożniejszych, z krzywdą tych co się modlą w ukryciu. Za czasów Chrystusa takimi byli faryzeusze. Owoż pana Wurskiego nazwaćby można faryzeuszem we względzie talentów i zalet, które będąc w rzeczy samej bardzo miernemi, wydawały się, dzięki umiejętności wystawienia ich na widok publiczny, wcale niepospolitemi. Otaczał je, mianowicie, ton jakiś szczególny, powagi i namaszczenia pełen a nabrzmiały protekcjonalizmem, ukrywającym w zanadrzu pobłażliwość. Wszystko co się robiło, pan Wurski znajdował na naganę zasługującym; nie ganił jednak — owszem, chwalił, ale chwalił, dając do zrozumienia, że to, co się zrobiło, mogłoby się zrobić lepiej, gdyby do tego rękę przyłożył on. Nie mówił tego, lecz do zrozumienia dawał; ręki zaś do niczego nie przykładął — czemu? — czemu?..

— A... ba!..

W panu Wurskim tkwiła jakaś potęga tajemnicza, z której on przed gawiedzią zasłony nie zdierał. Potęga ta nie wydawała z siebie nic dlatego jedynie, że właściciel onej nie raczył na próbę ją wystawiać. Wszystko, co się robiło, było dla niego za zbyt poziomem, zanadto powszedniem. Zachowywał się na czasy lepsze, na okoliczności odpowiednie; jeżeliby zaś czasy owe nie nadeszły — wina nie jego. Urodził się, albo

za wcześnie, albo za późno; — nim zaś co nastąpi, pozwalał gawiedzi podziwiać siebie, jako męża niepospolitego — jako znawcę, lubownika i protektora wszystkiego co pożytecznem i pięknem być by mogło, gdyby się on do pracy wziąć raczył. Nie raczył zaś, nie dla czego innego, dla tego tylko, że praca była za zbyt poziomą, ażeby się on do niej zniżyć miał.

Nie zniżał się więc.

Przechodził przez świat z głową podniesioną.

I spotkał się, w pochodzie swoim, z rachunkiem: z rachunkiem lat i z rachunkiem stanu kasy własnej. Pierwszy wykazywał przybytek znaczny, drugi ubytek zatrważający.

W czoło się dłonią uderzył.

— Czterdziestka za pasem... — rzekł sam do siebie.

I zdziwił się.

Zadziwienia jego powodem było to, że społeczność, uznająca wielkość jego, nie pospieszyła dotychczas z wynagrodzeniem tej wielkości, nie pokwapiała się jeszcze z podstawieniem pod nią piedestału, pod postacią fortuny, podanej mężowi znakomitemu rękami jednej z tych dziewic, co to stworzone są niejako w tym jedynie celu, ażeby ludzi do pracy niewzwyczajonych od takowej wyzwalać. Dziewice te znane są pospolicie pod nazwą „panien posażnych“. Pan Wurski, po-

myślawszy o swojej czterdziestce, zbliżającej się krokiem zdwojonym, zdziwił się, że żadna z takich nie zleciała jeszcze w ramiona jego. Zdziwił się i zawołał:

— O świecie!.. o ludzie!..

Chodził po pokoju i myślał. Myśli jego, wyszedłszy z punktu oskarżania świata i ludzi o niewdzięczność, sformułowały się powoli w postanowienie, które da się w następujący wyrazić sposób: „Ponieważ góra nie przyszła do proroka, więc prorok pójść musi do góry.“

— Ha!.. nie ma co!. — powiedział sobie.

Przebiegł myślą wszystkie znane sobie panny posażne, zrobił przegląd ich szczegółowy, dołączył do nich wdówki ciepłe, rozwódki i do rozwodu kwalifikujące się małżonki i zakonkludował:

— Nie...

Konkluzja ta, w głębi mniemania jego, oblekła się w szaty wyrażenia religijnego, zastosowanego do osoby trzeciej liczby mnogiej: „Nie godne są, Panie, ażeby weszły do przybytku serca mojego.“

Odnosiło się to do panien posażnych, wdówek ciepłych, rozwódek i do rozwodu kwalifikujących się mężatek.

Nie poznały się na znakomitości i znakomitość postanowiła ukarać je: opuścić miasto rodzinne, ruszyć w świat i... i... (co w bawełnę ob-

wijać!) poszukać sobie małżonki odpowiedniej, czyli, zrobić aſferę matrymonialną dobrą, na złość i na przekorę tym wszystkim co się na znakomitości poznać nie umiały.

Pan Wurski nie tał przed sobą trudności przedsięwzięcia. Wiedział on, że ożenić się łatwo, ale ożenić się a ożenić się, stanowi to dwie rzeczy całkiem różne, z których ostatnia najeżoną jest trudnościami często nie do przewyciężenia. Małoż to takich, co do ożenienia idą życie całe i dojsć nie mogą! To go jednak nie zrażało. Wiedział, że ryzykuje; wiedział jednak, że... *qui ne risque rien, n' a rien*.

Postarał się jeno pośrednio o to, ażeby pisma ogłosiły życiorys jego portretem ozdobiony, spakował się i w świat ruszył.

W świat — dokąd? — rzecz naturalna, do kąpiel. Mając zamiar poszukać sobie żony z piedestalem, nie mógł poszukiwać takowej gdzieindziej. Panny bezposażne trzymają się tej reguły: „Siedź grzybie, póki cię kto zdybie“ — po kąpielach się nie prezentują — nie chorują nawet, co byłoby wielką dla nich zaletą, gdyby zaleta owa posiadała siłę atrakcyjną, która na dobry ład powinna by się w niej znajdować. „W zdrowem ciele zdrowa dusza“ — powiada przysłowie, przez starych Rzymian w spuściznie nam zostawione. Komuż to jednak o duszę chodzi! Dusza? mniejsza o nią — byle pieniądze.

Tak myślał pan Jan Bąbysta i wybrał się do kąpiel. Spóźnił się jednak troszeczkę, dla tego też przybył do Krakowa, kiedy przez ten balneologiczno-matrymonialny alembik cedziły się resztki posażnych pacjentek.

— To nic... — powiedział sobie. Wykonam pojawienie się... wybłysznę... gdzie jednak?..

Zapytanie ostatnie zakłopotало go nieco. Nie wiedział dokąd kroki swoje zwrócić: czy nad które z mórz, przyjmujących na chłodne łono swoje Najady w kostiumach? czyli też do którego ze źródeł, pozwalających przedstawicielkom pięknej połowy rodzaju ludzkiego udawać Nimfy z parasolkami w ręku? Zakłopotало go to nie pomału. Mórz tyle!.. źródeł tyle!.. Jak tu wybrać?.. Co tu począć?. Rozmyślał nad wynalezieniem sposobu jakiego powzięcia informacji, któreby jako skazówka posłużyć mogły, gdy wypadek, czysty wypadek, będący opatrnością próżniaków wszystkich na świecie, wprowadził go do sali jadalnej, w której znajdowałem się ja i do której wkrótce po mnie weszła w komplecie rodzina hrabstwa Dzierzejewskich. Rodzina ta zaintrygowała go. Od pierwszego oka rzutu rozpoznał: w papie idjotę, w mamie gęś, w dziedzicu imienia durnia humańskiego, w pannie zagadnienie — niewiadomą, mającą się zdefiniować za pomocą wiadomych. W tej formule jednak, przedstawiającej się pod postacią reguły trzech, brako-

kowało mu świadomości ogólnej, tyczącej się stopy majątkowej, którą wyraża firma-nazwisko. Dlatego też, tak natrętnie dopytywał się o to kelnerów, i dopytawszy się nareszcie, przystąpił skwapliwie do odnowienia dawnej znajomości. On to był bowiem owym pełnym nadziei młodzieńcem, którego utwory deklamowane w Czełuscinie, zdecydowały hrabinę zająć się samej wychowaniem córki i syna.

Hrabianka nastęrczyła się mu jakby umyślnie.

— Eureka... — rzekł sobie w duchu.

Zbliżył się, frazesów kilka zamienił i rozwiązał problemat, odnoszący się do celu podróży. Hrabstwo jechali do Teplic: i on tam wraz z nimi się udał.

I nadał się im. Okazał się z niego towarzysz bardzo dobry i wielce dogodny. Bez niego, ile przestanków, ile zmian pociągów na drogach żelaznych, tyle byłoby, niezawodnie, wypadków. W Prerau, gdyby nie on, byłiby, zamiast do Pragi, do Wiednia pojechali, w Pradze, gdyby nie on, byłiby się spóźnili i pomimo to wyjechali z miasta, nie wiedząc wcale, że gościli w jednym z grodów, godnych pamiętania.

Nie wiedziałyby o tem panna Julja nawet — ona, co tyle czytała!

Nie wiedziałyby jednak. Czytanie jej odbywało się w celu... ukształcenia smaku, nie zaś z bogacenia umysłu. W czytaniu tego rodzaju ge-

ograjka zawsze pozostaje na prawo, lub na lewo. Toż samo dzieje się z historją. Panna Julja nie spotkała się z żadną wyraźniejszą nieco o Czechach i stolicy ich wzmianką i nie wiedziała o Pradze nic. Nie małem też było zdziwienie jej, gdy z ust pana Jana Babtysty następujące usłyszała wyrazy:

— W Pradze wartoby zatrzymać się dzień jaki...

— W Pradze?... — zapytała

— Stolica-ż to przecie...

— Stolica?... Praga .. — zaczęła z pewnem w głosie zakłopotaniem Praga... przy stolicy...

— Jarmark na Pradze... — wtrącił Fredzio — Żydzi prowadzą konie do wozu uwiązane...

Przypomniiał snąć sobie drzeworyt z akwarelli Kossaka.

Pan Jan Babtysta domyślił się, że hrabiankę i hrabiczka balamuci Praga, znajdujaca się na prawym brzegu Wisły, pod Warszawą. Począł więc tłumaczyć:

— Jest Praga jedna w Polsce, druga w Czechach... pierwsza przystawek do stolicy, druga stolica sama, tytułowana Złotą i pamiętna w dziejach, jako stolica narodu, niespokojnego a ruchawego, który się nieraz we znaki dał...

— Narodu?... — zapytała panna Julja zaciekawiona, dziwiąc się nieco iż z edukacji domowej nie powzięła o narodzie tym świadomości.

— Czeskiego... — odrzekł pan Jan Babtysta.

— A!... — zawołała panna akcentem przypomnienia sobie. Dąbrówka!...

— Dąbrówka była czeską królowną, którą za żonę pojął Mieczysław, książę polski i za jej sprawą chrzest przyjął...

— O! toż Praga ciekawą być musi... Po Dąbrówce są zapewne pamiątki jakies...

— Nie ma żadnych... Są za to pamiątki inne, wielce ciekawe...

I jał, w głównych zarysach, opowiadać historję Czech.

Opowiadanie to zainteresowało hrabiankę bardzo żywo.

Pan Jan Babtysta stawiał nacisk na ustępach dramatyczniejszych i umiał podbić uwagę słuchaczki.

— O!... o!... — wykrzykiwała co chwila. Uczyłam się przecie tyle!...

-- To historja... — rzekł pan Jan. Baptysta.

— Uczyłam się historji...

Zafrapowała ją szczególnie epoka Ziski. Rozpytywała się o szczegóły i powody i zawiązała o takowych dyskusję z narratorem, który, wyłożywszy fakta przedmiotowo, nietrafnie objaśniał powody onych.

— Toż Czechy, jak widzę — słowa hrabianki — odegrały rolę niemałoważną w dziejach ludzkości...

— No... tak... Ale cóż to warto, kiedy się przy tej roli utrzymać nie mogły!...

— Mnie się zdaje... — odezwała się panna Julja nieśmiało — że się one utrzymały, wywarłszy wpływ, który się nie zatarł w następstwach...

— Same jednak upadły. .

— Czyż upadły?... O... — ukazała parasolką na przechodniów — toć to Czechowie...

— Postradali niepodległość, niezależność państwową...

— Któż wie, ażali nie jest to stan przejściowy! — Zdaje mi się bowiem — dodała z wahaniem się niejakim — że, gdy naród jest, to państwo być może...

— No... tak-hm... — odparł pan Jan Babtysta. Państwo bez narodu, oczywiście, istniećby nie mogło, państwo bowiem...

— Jest — podchwyciła hrabianka — wytworem artycyjalnym (mogłaby poprawniej po polsku się wyrazić), wytworem, zależnym od zbiegu w danej chwili okoliczności pewnych, przypadkowych często, wyrazem potrzeb pewnych, urojonych niekiedy...

Pan Jan Babtysta zwrócił na pannę Julję zwrok zdziwienia pełen i, w oczy jej popatrzawszy, zapytał:

— Zkąd to pani wzięła?...

— Co?... — odparła hrabianka, czerwieniąc się.

— A to, co pani powiada...

— Zkąd?... zniskąd... Tak mi się zdaje...
Może mi się zdaje źle...

— Przeciwnie... Zdanie pani opiera się na podstawach... spornych, jak podstawy wszelkie... nie mniej jednak przeto racjonalnych... Można się na nie nie zgadzać, ale nie można im racjonalności zaprzeczać... Pani... pani... — rzekł z przyciskiem — myśleć musiała...

— Czyżby mnie pan o bezmyślność posądzać miał!... — odrzekła półzartem.

— Pani mnie o posądzanie podobne posądzać nie możesz... Ale myślenia są rodzaje wielorakie, pomiędzy którymi jest jeden, właściwy umysłom nie powszednim... i o taki to rodzaj myślenia posądzam panią...

— To mi podchlebia, ale... rozpowiadaj mi pan co jeszcze o Czechach, o których nie wiem nic a nic...

— Cóż?... — zaczął pan Jan Babtysta, zatrzymując się w punkcie, zkąd widać było Hradczyn, brzemienny — tyłą wspomnień. Oto zamek, z którego okien Czechowie mieli zwyczaj wyrzucać na bruk nie idących im w ład dostojników... Nazywało się to *defenestratio* — wyoknienie... Los ten spotkał trzech ministrów cesarskich, panów Sławatę, Martinica i Fabrycjusza, którzy się jednak nie pozabijali, mając to szczęście, że na kupę śmiecia upadli... Fabrycjusz był sekretarzem...

Jego wyrzucono ostatniego, spadł na głowy ministrów, zerwał się i przeproszał...

Panna Julja przyjęła wiadomość tę w milczeniu.

Zaszli na plac przed ratuszem.

— Oto — ciceronował pan Jan Babtysta — Radnica staromiejska, odgrywająca w dziejach czeskich tę samą rolę, co *Hotel de ville* w Paryżu... Do tego ratusza, do tego naprzeciwko kościoła, do tej na środku studni ido tego placu wiąże się wspomnień mnóstwo... Obok studni, naprzykład, znajdował się niegdyś pręgierz z żelazną klatką, do której zamykano miodem osmarowanych małżonków wiarołomnych...

Panny Julji nie zainteresował szczegół ten ciekawy, pomimo że narrator dodał o szlachcicu owym, co to, zamknięty w klatce, powiedział: „Widziałem dużo pałaców wspaniałych, żaden nie miał okien tyle co ten, ale to niedogodnem jest trochę.“

— Na placu tym — ciągnął pan Jan Babtysta — po zwycięztwie odniesionem przez cesarskich pod Białą Górą, ścięto w dniu jednym czterdziestu pięciu patryjotów czeskich... Na placu tym palono książki czeskie na stosach...

— Na co?... zapytała hrabianka nagle.

— Palono książki, niszczone pamiątki i zabytki...

— W jakim celu?...

— W celu wytępienia narodowości, która, postradawszy byt państwowy własny, nie harmonizowała z tym, w który ją Opatrzność wkluczyła...

— Opatrzność... — rzekła hrabianka tonem takim, jakby wyraz ten sobie w umyśle karbowała. I cóż?...

— No... nic... Jak długo trwał opór tak długo trwało tępienie...

— A potem?...

— Skończyło się...

— I Czechowie wyginęli doszczętnie?...

— Nie... Narazili się jednak na prześladowanie długie i krwawe...

— Widać że posiadali wartość niejaką...

— Z czego to pani wnioskuje?...

— Gdyby nie posiadali żadnej, toczy ich nie prześladowano...

— Hm... zapewne...

Wstrząsnął pan Jan Babtysta zlekka głową.

— Mnie się zdaje — zaczęła hrabianka — że oni, oprócz wojowników, męczenników i defestratorów, wydać musieli jeszcze i ludzi innego rodzaju... artystów, uczonych...

— Artystów?... tak... nie pierwszorzędnych jednak... Uczonych?... pomiędzy tymi miejsce najwydatniejsze zajmuje poprzednik Pestalozzowego, Jan Amos Komeński, pierwszy reformator edukacji...

— Powiedz-że mi pan co o nim..?

— Znakomity człowiek... uważa się powszechnie za Jana Chrzciciela w odniesieniu do Pestalozzowego, za przysposobiciela dróg dla tego ostatniego... Pomysły jego rozeszły się szeroko po świecie i znalazły zastosowanie w Anglii, w Szwecji, w Holandji, w Niemczech, w Polsce... Długo książki jego były elementarnymi... Pokolenia całe uczyły się z Komeniusza...

— Urodził się?...

— Na Morawach, przy schyłku wieku XVI., przemieszkiwał w Lesznie, w Polsce, chroniąc się od prześladowań, jakie mu we własnej zagrozały ojczyźnie... W Lesznie pisał i w Polsce drukował najznakomitsze dzieła swoje, które wnet na wszystkie europejskie i niektóre pozaeuropejskie tłumaczono języki...

— I wszystko edukacyjne?...

— Po największej części...

— Wie pan — podchwyciła panna Julja — Czechy, o których nic prawie nie wiedziałam, zajmować mnie poczynają mocno... Czy dużo ich?...

— Około pięć milionów, zamieszkujących kraj, ale pomieszanych z Niemcami tak, że na trzech Czechów przypada jeden Niemiec... Niemcy zaludniają części niektóre kraju w zupełności...

— Naród ten bardzo mnie zainteresował... bardzo... — rzekła z naciskiem. Będę, jeżeli mi

pan pozwoli, nudziła pana pytaniami, tyczącemi się bytu Czechów przeszłego, terazniejszego, a nawet i przyszłego...

— Pani... — skłonił się pan Jan Babtysta, z akcentem oznajmiającym gotowość na rozkazy.

— Nie znudzi to pana zbyt wiele?

— Nie o to chodzi, lecz o to, czy potrafię zaspokoić ciekawość pani...

— O! niech się pan tem nie troska... *Jusqu' à ce moment vous ne vous êtes pas trouvé en défaut*: spodziewać się przeto należy, że i na przyszłość będzie tak samo... Ja, niestety!... — dokończyła hrabianka z pół-westchnieniem — uczyłam się tak, niby dużo, a umiem tak mało... Wszystko, co z ust pańskich słyszę, jest dla mnie rzeczą zupełnie nową, o której bym jednak wiedzieć coś mogła i powinna... Lękam się tylko znudzić pana...

— O pani! — zaprotestował pan Jan Babtysta.

V.

— Cała tajemnica, na której opiera się sztuka posługiwania się ludźmi, polega na znajomości słabej strony człowieka, na którego widoki mamy.. Tajemnica ta nie jest już dla mnie tajemnicą w odniesieniu do niej... Znam na wylot słabą jej stronę... *Elle se laissera prendre... et* Czeluścin *av c...* Papa dobrodziej, idiota skończony; mama dobrodziejka, bardzo głupia; braciszek... oj! ziółko... ale smar-kacz jeszcze... Ze strony papy i mamy znaleźć się mogą trudności niejaki, które potrzeba będzie obalać lub obchodzić za pomocą słabej strony jej.. E, zaaranżuje się to jakoś, byle tylko gruszek w popiele nie zaspać...

Czytelnik domyśla się, kto jest słów powyższych autorem. Pan Wurski wygłosił monolog ten w obec książki otwartej. Studiował historję Czech, a miał pod ręką dzieła, traktujące o Czechach pod względem statystycznym, handlowym i przemysłowym, pod względem literackim, naukowym i artystycznym. Pracował na intencję hrabianki, a raczej, nazywając rzeczy po imieniu,

na intencję Czeluścina, o którym wiedział, że jest majątkiem posagowym. Praca szła mu rażno. Zajmował się z gustem i z zacięciem człowieka, świadomego, co robi i dla czego. Czytał, notował, kombinował. Kto by z boku widział go przy stoliku, w otoczeniu książek, śledzącego oczami stronnice i znaczącego takt trzymanym w rękę ołówkiem, nie mógłby nie powziąć dla niego szacunku, należnego człowiekowi, pracującemu w ten sposób.

Posłuchajmy go jednak jeszcze.

— Hm... — wytchnął przez nos z głębi piersi — bzdurstwo... Czyżbym na to zważał, gdyby nie potrzeba podkucia się na ostro wobec dziedziczki Czeluścina, domagającej się gruchania, zaprawnego erudycją!.. Fenomenalna istotka!.. Fenomena jednak tego rodzaju brać należy w znaczeniu znaków czasu... Głupstwa powszednie spowszechniały, i pojawiają się panny posażne, których serca nie otwierają się kluczem grymasów romansowych... Požadają *du substantiel*: albo ewikcji, albo rozumu... Ha! miejmyż więc rozum...

Rzekłszy to, zagłębił się w czytaniu..

Pracował. Zbogacał umysł wiadomościami, tyczącami się dziejów i bytu narodu pobratymczego — meblował głowę, jak to się powiada.

Z powodu pracy tej, pozwolę sobie słów kilka. Pozwalam sobie na to tem śmieiej, że to co mam powiedzieć w tej materji posłuży mi za

mostek, po którym przejdę do wypadków, stanowiących treść powieści niniejszej.

Człowiek każdy jest samolubem z natury rzeczy i co robi, co poczyna, robi i poczyna przede wszystkim dla siebie. Pracuje dla siebie; uczy się dla siebie. Wzgląd na osobę własną stanowi intencję pierwotną i podstawową. We względzie tym atoli zachodzi ważne jedno „ale“, ograniczające, ścieśniające i moderujące samolubstwo z góry. „Ale“ ono zawiera się w tym fakcie, że samolub sam przez się niczego ani dopiąć ani dokazać by nie potrafił. W wiekach minionych inaczej się na tę kwestję zapatrywano. Wygórowane samolubstwo kryło się po pustelniach, szukając wascetyzmu zbawienia duszy. Indywiduum każde z osobna, miało się za istotę wysokową, której świat godzien nie był; chowało się z nim przed światem; żyło żołądkami, korzonkami i dzikimi owocami, i czyniło Stwórcy ten zaszczyt, że z nim w bezpośrednie wchodziło stosunki. Mistycyzm całkowicie kręci się około osobistości pojedynczej, około jednej duszy oderwanej, którą rozmaitemi otacza przywilejami, spływającemi na nią za pomocą, to łaski osobliwej, to zaklęć szczególnych, to znaków tajemniczych, to operacyj kabalistycznych. Dusza pojedyncza była jedynym i wyłącznym trosk wszelkich przedmiotem. Pochodziło to z wrodzonego człowiekowi samolubstwa, dzięki któremu nie rozumiał, ani istoty społe-

czeństwa, ani własnego do onego stosunku, wyrażającego się w ten sposób, że każdy człowiek pojedynczy przychodzi na ten świat, jako dłużnik ogółu, dłużnik we względzie wszystkiego tego co posiada i posiadać może, zaczynając od kolebki, nad którą jaśnieje słodki uśmiech matki, kończąc na trumnie, w której go na miejsce wiecznego spoczywania odnoszą.

Dłużnik ma przecie obowiązki jakieś względem wierzyciela! Czemże są obowiązki wszelkie, jeżeli nie ograniczeniem samolubstwa!..

Były czasy, kiedy obowiązki nie istniały żadne — kiedy na człowieku nie ciążyło nic, kiedy opierało się mu to jeno, czego nie mógł ręką dosięgnąć, zębem zachwycić, ramieniem przełamać. Złote czasy! Samolubstwa nie ograniczało nic: wierzyciel bowiem nie stał nad karkiem i nie upominał się o odsetki od kapitału, wypłaconego do rąk ryczałtem w chwili urodzenia pod postacią urządzeń społecznych, zapewniających dogodności i korzyści, o jakich przodkowie nasi — troglodyci, współcześnicy złotego wieku, wyobrażenia nie mieli. Czasy się zmieniły. Dawniej wierzyciela nie było, dziś jest, niestety — jest, narzuca się, pozbyć się go nie sposób, chyba... nie rodzić się. Urodziwszy się jednak, klamka zapada. Jest się dłużnikiem, obłożonym odsetkami, których płacenie rzetelne pozostaje głównie pod kontrolą sumienia dłużnika

i rozumienia stosunku, w jakim on względem społeczeństwa pozostaje.

Kto ma sumienie i rozum, ten nie pracuje i nie poczyną wyłącznie dla siebie.

Sumienie i rozum wytwarzają instytucję, pozabawiającą pracę indywidualną charakteru samolubstwa pierwobytnego.

Samolubstwo jest cechą, właściwą dzikim instynktom, odnoszącym się pierwiastkami swojemi do epoki przedpotopowej, kiedy to człowiek zamieszkiwał jeszcze jaskinie wspólnie z mamutem, słoniem, hycną.

W epoce naszej jest ona anachronizmem, płynącym z nierozumu — z niepojmowania znaczenia jednostki człowieczej w społeczeństwie ludzkim.

Niepojmowanie to zdarza się bardzo często; to atoli nie przeszkadza samolubstwu być anachronizmem, pierwiastkiem obcym, wyrzucenie którego z łona społecznego stanowi jedno z najważniejszych zadań chwili obecnej..

Niepojmowanie to stanowi chorobę, z której ludzkość uleczyć się usiłuje.

Choroba atoli istnieje; istnienie jej zaprzeczyć się nie da; lekarstwa na nią nie wynaleziono jeszcze; i niejednen Wurski oddaje się tej lub innej pracy w tym celu, ażeby owoce z takowej na jego wyłącznie obróciły się korzyść.

Ten się chwyta tego, ów owego.

Wurski studjował dzieje i rzeczy czeskie, dla... „podkucia się na ostro wobec dziedziczki Czełuścina.“

W tymże samym czasie, w domu obok, inny Wurski oddawał się, w tymże samym celu, pracy innego rodzaju.

I w tymże samym czasie, w domu opodal nieco, jeszcze inny Wurski oddawał się, w tymże samym celu, pracy jeszcze innego rodzaju.

Hrabianka stanowiła pewien rodzaj magnesu, ściągającego ku sobie trzy prace z trzech punktów rozmaitych.

Jedna praca wyrażała się za pomocą studjów naukowych.

Druga praca zależała na ciągnięciu kabały.

Trzecia praca przedstawiała się pod postacią szlifowania paznokci.

Pan Jan Babtysta, przyjechawszy z państwem Dzierzejewskimi do Teplie i ulokowawszy się w hotelu, oddał się studjom, nie wiedząc wcale o dwóch spółzawodnikach, którzy tygodniem pierwej od niego przyjechali.

„Jeden się zwał Gałacer, Gabryel drugi“

Są to imiona chrzestne. Rodowe panów tych nazwy brzmiały całę poważnie. Imieniowi Gałacer towarzyszyło nazwisko Dryndalski, imieniowi Gabryel nazwisko Połtkiewicz.

Dryndalski, człowiek zamożny, *possessionatus et bene natus*, sąsiadował z Czełuścinem o miedzę i należał do tego rodzaju obywatelstwa, co to wszystkie cnoty zna i posiada, ale żadnej nie praktykuje. Człek na plaster jedyny, choć go do rany przykładaj. Przyłożony jednak do rany, nie zaszkodzi, ale też i nie pomoże. Gotów zawsze do wszystkiego, co dobre z pożytkiem łączy, ale tylko gotów, a to z tej przyczyny, na jaknajwiększe zasługującej pochwały, że nim się czego imie, pierwej się namyślić grnntownie musi: — namyśla się, stosowna pora mija i gotowość jego pozostaje w zawieszeniu na czas nieograniczony. I tak więc, pomiędzy wielu innemi gotowościami, jedna mianowicie pozostawała, nie to w zawieszeniu, ale w natężeniu przez ćwierć wieku.

Od lat dwudziestu pięciu gotów był ożenić się.

Gotowość tę zwracał po kolei ku wszystkim w okolicy pannom na wydaniu i namyślał się. Nim się jednak namyślił, jedne panny przekwitały, drugie mu z przed nosa chwymano. To ostatnie przytrafiło się z hrabianką Przytrzymałską, matką hrabianki Julji. Pan Gałacer gotów był posunąć o nią w konkury, za czem przemawiało silnie sąsiedztwo bliskie, zachęcające nie tylko do tego, ażeby się pan Gałacer i panna Emilja dozgonnym złączyli węzłem, ale i do te-

go jeszcze, ażeby korpus tabularny Motowidła i korpus tabularny Doliny, dziedzicznej pana Dryndalskiego włości, zwały się w jedną pięknie zaokrągloną całość. Pan Gałacer więc namyślał się bardzo serjo. Zanim jednak przyszło co do czego, panna Emilja wyszła za hrabiego Dzierzejewskiego; pan Gałacer zaś namyślać się jął znów z początku; brał rzeczy z gruntu; swatom, na których nie brakło, odpowiadał uśmiechem uprzejmym; wszem wobec i każdemu z osobna oświadczał, że „co nagle, to diable“, i z nienagłą doczekał się w kawalerskim stanie, najprzód, korpulencji bardzo poważnej, następnie tego, że hrabianka Dzierzejewska doszła do pełnoletności. Jak ongi gotów był konkurować o matkę, tak z tą samą gotowością stanął wobec córki. Namyślał się jednak — rozważał — głową pracował, a, w celu nadania tej pracy akcentu niejakiego i rytmu pewnego, skojarzył ją z kabałą, którą pod postaciami najrozmaitszemi ustawicznie ciągnął. Naprzykład: kładnąc się z wieczora spać, powiadał sobie:

— Jeżeli jutro ocknę się trzy kwadransy na siódmą punkt, to będzie to znaczyło, że panna Julja gotowa iść za mnie...

Ocknął się, ale zapomniał na zegarek popatrzyć. Wstawał, sapał, wypijał kawę, palił fajkę, gniewał się na losy stające w poprzek gotowości jego i rozmyślał nad kabałką pod odmienną jakąś

postacią. Niekiedy zasiadał do passjansa, do którego otoli wiary wielkiej nie przywiązywał, ciągnąc go dlatego jedynie, że wchodzi do kategorii kabalek.

Na tygodni parę przed chwilą, w której czytelnik znajomość z nim zabiera, radził się wyroczni kabalkowej, co się tyczy podróży do Teplic. Przebudziwszy się po drzemce poobiedniej, odchrząknął i, mając flegmę odrzucić, zamyslił się:

— Jeżeli do okna sięgnę, pojedę... jeżeli nie, to nie..

Plunął i szybę wybił.

— Uhm... — mruknął i głową skinął, siadając i w boki się biorąc.

Huknął na ochmistrzynię, której wnet w następujący umotywowane sposób dał zlecenie:

— Po gruntownym namyśle zdecydowałem się do Teplic jechać: przygotuj że mi asani bieliznę i wszystko co potrzeba..

W Teplic ulokował się wygodnie i namyslał się.

Takim był jeden ze spółzawodników pana Wurskiego.

Drugi spółzawodnik do odmiennego należał rodzaju.

Pan Gabryel Połtkiewicz należał do grona tej złotej młodzieży, której przekonania, zasady, wyobrażenia, pojęcia i rojenia ześrodkowują się cał-

kowicie w jednym punkcie, a punktem tym — ona sama. Punkt ten stanowi niby ognisko we środku zwierciadła wklęsłego, skupiające w sobie promienie słońca — słońca miłości własnej, nie chcącej po za sobą nic uznawać, ani o niczem wiedzieć. Dla młodzieży złotej nie istnieje żadna wielkość, żadna zasługa, żadna wartość, żaden cel życia wychodzący po za obręb dreptania na miejscu na sposób marjonetek. Nie może być zgnilszą zgnilizna żadna, wśród tych, które się na łonie dostatku wyradzają. Są to istne niedolegi, pomimo że nie jeden z nich i rumiano wygląda, i jurzy się, jakby w rzeczy samej życie w nim było. Życia w nich — życia! — nie ma; ruch zaś odbywa się, jak w lalkach, mechanicznie: chodzą, siadają, kiwają się, oczami zawracają, skrzeczą, pełnią w ogóle wszelkie funkcje żywotne za pomocą sprężyn, które w nich jak w każdym tkwią stworzeniu. Ludźmi jednak są... z kształtu, a jedyna z tej racji korzyść z nich wyraża się przez to, że się przyczyniają do rozwoju sztuki krawieckiej, do podniesienia fabrykacji kosmetyków i do wydoskonalenia fryzjerstwa. Zresztą, sami przez się do niczego są, wzięci zaś w odniesieniu do ogółu, stanowią taką zawadę, jaką jest dla człowieka drzazga na palcu, pryszcz na języku, lub nagmiotek na pięcie.

Pan Gabryel przedstawiał niedolegi egzemplarz, jeden z najwyraźniej patentowanych.

Złoty młodzieniec w znaczeniu całym! W gronie towarzyszy nosił imię Brzysia, będące skróceniem Gabryela, a nadane mu przez mamę, panią Połtkiewiczową, która kochała go tą miłością jaką damy wielkomiejskie, do rodzaju których należała, otaczać zwykły małpki, papugi, pieski i dzieci własne. Z rąk też mamy, z pod tkliwej jej opieki, wyszedł niedołąga skończonym — rozmilowanym w sobie i nieprzebaczącym ludziom tej tylko jednej rzeczy, że nie składają mu holdów za to, że nad niego nikt poprawniej nie ubiera się, nie czesze i nie pozuje.

Przychodzi jednak — jak przysłowie powiada — kreska na Mateska. Niedołągom najdogodniej by było pędzić żywot ptasi, przenosząc się z gałązki na gałązkę i nie myśląc, ani o jutrze, ani o niczem. Nie sposób jednak. Nie myśleliby o niczem, gdyby nie posagi.

Posagi mają dla nich urok szczególny.

Historja każdego niemal niedołągi płynie zrazu jak potok z topniejącego śniegu, rozczynia się następnie w błocie i ma już ulotnić się w oparze, gdy nagle zlewa się w rezerwoar. To ostatnie odbywa się pod wpływem posagu. W języku konwencjonalnym historja ta tłumaczy się w ten sposób, że młodzieniec, jako młode piwo, burzy się, szumi, aż się w końcu statkuje. W istocie zaś, stateczność owa jestto cnota z musu, taka sama, jak moralność, urabiająca się pod naciskiem,

z jednej strony, grozy męczarni w piekle, z drugiej, nadziei rozkoszy w niebie. Piekłem dla niedołęgi, roznerwowanego na polu zapasów z życiem, jest bezpieczeństwo. W obec perspektywy tej, z ochotąby kradł lub rozbijał, gdyby nie obawa niezręczności własnej. A możeby złapali! Do wyjścia ręką obronną na ustatkowanego nie masz sposobu innego, jak tylko ożenek, bodaj z makolągwą, byle posażną. Jeżeli ten zawiedzie — ha!... wówczas pozostaje jeszcze zdobyć się na heroizm jaki: wykierować się na szulera, na pijaka, do klasztoru wstąpić lub w łeb sobie strzelić.

Brzys znalazł się w tej epoce życia właśnie, w której piekło przedstawiało się mu w perspektywie nie nazbyt oddalonej. Gonił ostatkami. Nie wiedziałby jednak o tem, gdyby nie czuwał nad nim duch opiekuńczy w postaci pani Połtkiewiczowej.

— Dziecko moje, *chéri, adoré*, przychodzi na ciebie kolej złożenia skrzydeł motyla...

— Hm .. hm... — była odpowiedź Brzysia, który od razu zrozumiał poetyczny kochającej mamy język.

— Hrabianka Dzierzejewska?... rzuciła z akcentem zapytania.

— *Pourquoi pas!...*

— Tylkoż, monszeroniu, bierz się impetycznie... *Pour que le sexe ne puisse résister*, nie

masz jak impetyczność... Błyśnij, olśnij, rozwiń od razu sedukcji potęgę całą, i...

— Bah!.. — odparł Brzyś tonem pewności siebie.

— O! nie wątpię... Tobie, Brzysieczku mój, na czole napisano: *irresistible*...

L'irresistible, przybywszy do Teplic i ulokowawszy się w jednym z najlepszych hoteli, zapisać kazał w księdze nazwisko swoje, „hrabia“ (sic) G. de (!) Połtkiewicz i polecił wywiedzieć się o hrabstwie Dzierzejewskich. Odraportowano mu, że podobnego nazwiska goście nie przybyli. Powtarzał polecenie przez dni kilka, aż doczekał się przyjazdu wyglądanych.

— *Sind schon da.*.. — oznajmił mu komisjoner, wymieniając hotel, w którym stanęli — *zwei Damen und drei Herren*...

— *Zwei Damen*... hrabina i hrabianka; *drei Herren*... hrabia, hrabicz i... któżby trzeci?... Jak wygląda?... zapytał komissjonera.

— Pan .. graf iakiś...

— Hm?... no..

Działo się to po przybyciu do Teplic pociągu wieczornego. Nazajutrz *l'irresistible* zasiadł od rana do pracy, do której ku pomocy zawezwać kazał fryzjera. Siedział przed zwierciadłem. W przeźroczy onego odbijała się postać jego, osłonięta chustą białą, z wyjątkiem głowy, którą mistrz przyodzabiał, operując około niej grzebie-

niami, szczotkami, szczypcami, nożyczkami, brzytwami, żelazkami, drutami, skórkami, maściami i płynami — regulował faworyty, nadawał symetrię brodzie, fiksował wąsy, polerował skórę na policzkach, akcentował brwi, oczyszczał nozdrza i uszy, układał włosy, rozdzielając takowe pręgą regularną od czoła do karku, strzepiąc zlekka w okolicy skroni i uszów i nadając im połysk i falistość na powierzchni głowy, tak z przodu, jak z tyłu. Układanie włosów w sposób, dzielący głowę na dwie głowy, jest jeniałnym wynalazkiem ministra, szczęśliwie rządzącego ludami, wchodzącymi do składu Przed- i Za-Litawii. W wynalazku tym odbija się polityka dualizmu, którą ogół podchwycił i szeroko zastosował, przenosząc ją z głowy na wszelkie manifestacje życia. Dualistów namnożyło się bez liku w czasach ostatnich. Wszelka jedność rozpadła się na dwie jedności bez nadwężania przez to całości. Do siadania, na przykład, na dwóch stołkach nie potrzeba dziś, jak to przed laty bywało, stołków dwóch: siada się na jednym, a na dwóch się siedzi. Wielki, zaiste, wynalazek!

Brzys siedział przed zwierciadłem godzinę z górą. Po godzinie głowa jego wyszła z pod palców artysty świetniejąca dualizmem. Włosek każdy na swoim znajdował się miejscu, fałd jeden odpowiadał drugiemu, całość przedstawiała harmonię skończoną a zupełną. Właściciel głowy

tej wstał z krzesła; w zwierciadle przy pomocy zwierciadełek ręcznych, które z boku nastawiał, obejrzał się do koła; wkładał kapelusz, ażeby się dowiedzieć, o ile takowy przypada do fryzury i, pożegnawszy artystę protekcyjnalnem głowy skinieniem, przeszedł się razy parę po pokoju. Zapalił papieros. Z papierosem w ustach przed zwierciadłem stawał, studując efektu, jakie sprawiały kłęby dymu z ust przed oblicze wyskakujące. Powtarzał to razy kilka, aż w końcu;

— *Bon...* — bąknął.

Była to chwilka spoczynku, która przemienęła prędko. Brzyś cisnął niedopalony papieros i zasiadł przed stolikiem założonym instrumentami, których użytku niewtajemniczony odgadnąćby nie był w stanie. Widzieć się tam dawała kolekcja pilników, dłutek, nożyków, nożyczek, szczypczyków, szydeł i haczyków rozmaitych kształtem i wielkością, dalej kolekcja szczotek i szczoteczek płaskich, krągłych, wypukłych, wklęsłych, ostrych, miękkich, gęstych, rzadkich, penszlików, miotełek, szpiców drewnianych i kościanych, narzędzi płaskich i wypukłych skórką obciążnionych, gąbek, flaszeczek z płynami koloru różnego, pudełeczek z proszkami, słoików z maściami, skórek, flanelek i kapturków na palce. Wszystko to właściwy znalazło użytek. Każdy z osobna paznokiec został obcięty, podpiłowany, zaokrąglony, zagięty, oszlifowany i opole-

rowany, przy umiejętnej a zręcznej pomocy wszystkich wymienionych powyżej narzędzi i ingrediencyj. Pan Gabrjel pracował sumiennie. Zaczynał od okrywania paznokcia warstwą maści i ubierania go w kapturek; następnie kapturek zdejmował, maść obcierał, paznokieć umaczanym w płynie penzelkiem zwilżał i znów go obcierał; szło potem odczyszczanie z pod spodu i formowanie krawędzi, poczem znów zwilżał, proszkiem posypywał i szczotkował; po szczotkowaniu następowało polerowanie skórkami — polerował i przypatrywał się przez szkło powiększające, powtarzając to tak długo, aż paznokciowi nic nie pozostawało do zarzucenia pod względem kształtu i połysku.

O! pracował.

Profani, do świetnej niedołęgów konfraternii nie należący, pracy tej znaczenia ani doniosłości nie pojmują. Oto ja, jeden z najpierwszych, ja, com się zastanawiał nad przyczynami rzeczy wielu, zastanawiałem się i nad nią i, ze wstydem wyznać muszę, nie doszedłem do czego ona. I, zdaje mi się — chociaż tego przesądzać nie myślę — łatwiej powiedzieć, na co pan Bóg człowieka stworzył, aniżeli, na co człowiek paznokcie szlifuje i poleruje. Nie można jednak temu zaprzeczyć, że jest to praca i nie lada, wymagająca dużo zręczności, cierpliwości, zwłaszcza zaś czasu. Pan Połtkiewicz nad paznokciem każdym kwadrans przynajmniej stracił.

VI.

Pan Wurski zamieszkiwał w Teplic pod jednym z hrabstwem dachem, co pod względem pewnym, było dla niego dogodnością, pod pewnym zaś, niedogodnością. Mieszkając pod jednym dachem i spotykając się po razy kilka na dzień, stawał się niejako członkiem rodziny, przez co zbliżał się do panny Julji. Zbliżając się jednak, powszedniał, to jest, stawał się nieznośnym. Nieznośnym wolno być małżonkowi, nie zaś człowiekowi, mającemu na celu podbicie, jeżeli nie serca, to głowy. Pan Jan Babtysta rozumiał wszakże położenie własne i nie narzucał się. Przy śniadaniu nie pokazał się; do obiadu przyszedł kiedy już deszer podawano i usiadł z daleka. Hrabina i hrabianka spoglądały na niego wymownie, on jednak, zdawało się, nie rozumiał wymowy, wyrażającej się za pomocą zapytania: co mamy robić ze sobą? Zrozumiał je po obiedzie dopiero, gdy przysiadł się do niego Fredzio i w następujący odezwał się sposób:

— Czy chce pan, żebym panu powiedział prawdę, czy nieprawdę?..

Uśmiechnął się i odparł:

— Powiedz i jedno i drugie...

— Cóż pierwej?..

— Zaczynj od nieprawdy...

— Owóż tedy — rozpoczął chłopak, przybierając minę poważną — przychodzę do pana od samego siebie i zadaję mu następujące z natchnienia własnego zapytanie: co robić w Teplic, ażeby się na śmierć nie zanudzić?..

— Powiedz-że teraz prawdę...

— To samo zapytanie powtarzam w imieniu mamy i Julisi...

— Zapominasz o papie...

— Nie zapominam, a nie wspominam... Papa w nudach się zamarynował i są one dla niego tem, czem ocet dla korniszonów... Bez nudów egzystować by nie mógł... To jego życie, które tak sobie przyswoił, że mądrym by był nadzwyczajnie ten, co by mu je odebrać zdołał... Przez miłość dla papy, przez przywiązanie dla niego, ani mama, ani Julisia, ani ja, nigdy ani próbujemy z nudów go wyprowadzić...

— Czy to prawda, czy nieprawda?.. — zapytał pan Jan Babtysta z akcentem odpowiednim.

— Hm... — odparł chłopak usta wykrzywając — i prawda i nieprawda... Julisia powiada, że pan masz rozum...

— Więc cóż?..

— Więc pan odróżnisz prawdę od nieprawdy.

— Pochlebia mi wielce opinja dobra, jaką ma o mnie panna Julja...

Fredzio wykrzywił się na słowa te, robiąc minę tak dziwną, że pan Wurski ze zdziwienia spojrział na niego i zapytał:

— A toż co?..

— Nic... — była chłopaka odpowiedź. Julsia będzie kontenta, gdy się dowie, że panu opinja jej pochlebia... Tymczasem zaś, poradź pan, co ze sobą robić mamy...

— Leczyć się...

— Na co?..

— Na te choroby, dla których hrabstwo do Teplic przyjechali...

— A ba... choroby?.. Przyjechaliśmy tu nie dla choroby jakiejś, ale... ot, tak sobie... dla tego, żeby w Motowidle nie pleśnieć...

— Więc... przechadzki.. koncerta... bale...

— Otóż to... Pójdź-że pan do mamy i, niby od siebie, rozpowiedz jej o przechadzkach, koncertach i balach...

— Najchętniej.. z jaknajwiększą gotowością...

— Tylko, niech to będzie niby od pana...

— Dobrze... Dla czegoż jednak tak ci chodzi o to, ażeby rada z mego niby płynęła natchnienia...

— Mama powierzyła mi wyciągnięcie pana z ręcznie na takową... Jeżeliby przeto wydało się, że pan radzisz nie z własnego natchnienia, ale wskutek zakomunikowanego przezemnie żądania mamy, to z ręczność moja poniosłaby przez to szwank nie mały... Mnie mama za takiego trzyma mądrego.. a!...

— Chodzi więc tu o to, ażeby i hrabinie dogodzić i tobie dogodzić... Ponieważ da się to zrobić bez krzywdy niczyjej...

— O!.. — podchwycił Fredzio — bez krzywdy niczyjej!.. Gdyby to tak robić się mogło wszystko na świecie!..

— Ba... było by to świetnie.. — rzucił pan Jan Babtysta, wpadając w chłopaka mowy ton, który mu się wydał gorącym życzeniem.

— Świetnie?!.. — zawołał hrabicz z akcentem zdziwionego szyderstwa.

— A no.. — bąknął pan Jan Babtysta zderutowany akcentem interlokutora swego.

— Bez krzywdy niczyjej?... A toć bez krzywdy czyjejs byłoby chyba niepodobieństwem żyć na świecie!..

¹ Pan Wurski pilnie na Fredzia popatrzył.

— Któż ci to powiedział?... — zapytał.

— Kto?... — odparł chłopak. Hm... Nikt...

Sam sobie ja to wymyślił...

— Uhm.. — mruknął pan Wurski, głową

lekką skinąwszy, z takim akcentem jakby powiedzieć chciał: ziółko!...

Fredzio odezwał się z półkomicznym westchnieniem:

— Nie czyń drugiemu, czego nie chcesz ażeby tobie czyniono... och!..

— Widzisz więc... — tonem moralizatorskim podchwycił pan Jan Babtysta — to znaczy: nie krzywdź bliźniego...

— Dawaj, naprzykład, ubogiemu jałmużnę...

— No... tak...

— Niechciej jednak, ażeby jałmużnę dawano tobie... Jeżeli ja jałmużny nie chcę, to i drugiemu dawać jej nie powinienem... Gdzie tu krzywda: czy, jeżeli daję, czy jeżeli nie daję?... Oto, także wszystkim... Nie wiadomo, co krzywda, co nie krzywda... Zarzekając się więc krzywdzenia, trzeba by chyba... nie żyć...

Pan Jan Babtysta nie uważał za rzecz stosowną wdawać się w dalszą dyskusję z chłopakiem, mającym, pomimo że nie liczył więcej jak lat szesnaście, tak wytrawny na świat i życie pogląd. Pomyślał sobie tylko, że się Fredzio zawczasie trochę rozwinął; pomyślał sobie jeszcze, że praktyczny wyrośnie z niego człowiek i odezwał się:

— A... chodźmy więc do hrabstwa na poradę...

Hrabstwo zajmowali apartament o trzech

pokojach, z których jeden pełnił funkcję salonu. W salonie nie było nikogo, kiedy weszli pan Wurski i Fredzio. Nie długo jednak byli sami. Równocześnie prawie pojawili się hrabia i hrabina i ta ostatnia zawiązała rozmowę, podobną z treści do wszystkich rozmów, prowadzonych w okolicznościach podobnych. Była to kwestja o zdrowiu, o pogodzie, o znużeniu podróznem, o kolejach żelaznych. Hrabina, będąc jeszcze hrabianką Przytrzymalską, jeździła do Teplic powozem własnym, widziała więc zmiany ogromne, zaszłe od czasu owego i podniosła takowe.

— Lat... dwadzieścia, mój Boże, a co za różnica!...

(Powiedzieć była powinna „lat trzydzieści“).

— Postęp szybko idzie naprzód.. — zauważył pan Jan Babtysta. Za lat dziesięć nastąpią zmiany inne jeszcze...

— Ta, na przykład — podchwycił Fredzio — że pełnoletnim zostanę...

(Nie miało to właściwie z postępem styczności najmniejszej; charakteryzowało jednak młodzieńca).

— Wydoskonalenie balonów szybkim zbliża się krokiem... — dodał pan Wurski.

— Czyż w rzeczy samej?... zapytała hrabina.

— Zdaje się... Jest wielkie podobieństwo do prawdy...

— Za nic bym do balonu wsiąść się nie odważyła...

— Powiadano to samo i o kolejach żelaznych, a nawet dziś jeszcze trafiają się osoby, mające do kolei wstręt nieprzewyciężony...

Tu pan Wurski przytoczył przykład magnatki pewnej, pani B., właścicielki włości licznych, znanej z przywiązania nieograniczonego do kotów i do jezuitów, tak głęboko przekonanej, że pomiędzy koleją żelazną a złym duchem bliska zachodzi styczność, że nie tylko nią jeździć, ale nawet oglądać takowej nigdy w życiu nie chciała. Ztąd wszczęła się rozmowa o przesądach. Hrabina nie rozumiała, jak można być przesadną będąc bogatą. Pan Jan Babtysta tłumaczył możliwość wypadku podobnego, zwalając, co do pani B., odpowiedzialność za takowy na koty.

— Czy nie pomyła pan przyczyny istotnej?... — odezwała się panna Julja, która wszedłszy przed chwilą, wysłuchiwała tej części tłumaczenia.

— Koty stanowią dla pani B. *idée fixe*, pochłaniającą wszystkie jej władze umysłowe i bałamuącą jej pojęcia...

— A może też do bałamucenia przyczyniają się nieco i ojcowie jezuitów...

— Ta — ale... — odparł pan Wurski z przy-musem niejakim, spoglądając z boku na hrabinę i czekając jakie też wrażenie wywrą na niej słowa córki, wyrzeczone w materji tak drażliwej.

Widocznie, konkurować zamierzał o rękę panny Julji. Gdyby nie to, śmielejby zdanie własne

wynurzał. Tu zaś, jak na tóż, panna Julja na próbę go wystawiała.

— Cóż bowiem koty!... — mówiła — można je lubić i bardzo lubić, a pomimo to w złego ducha nie wierzyć...

— Rozmیلowanie się w przedmiocie pewnym absorbuje... — odparł pan Wurski.

— Koty wszakże nie mogą natchnąć wiary zdefiniowanej: trzeba koniecznie, ażeby ktoś zdefiniował takową... Przesąd zaś każdy nie czem innym jest, jak wiarą...

— Skrzywioną.. — wtrąciła hrabina.

— Zdefiniowaną zawsze, którą ludzie od ludzi przejmują; chodzi więc o to: czy pani B. przekonanie, że pomiędzy koleją żelazną a złym duchem bliska zachodzi styczność, przejęła od kotów, czy też od ojców jezuitów?... czyli: kto ją bałamuci... koty, czy ojcowie jezuici?...

Milczenie chwilowe, jakie po tem nastąpiło zapytaniu, przerwała hrabina.

— Trudno przypuszczać, ażeby ojcowie duchowni bałamucić mieli...

— Tyle im jednak zarzucają!... — zaprotestowała hrabianka.

Pan Wurski, wobec dysputy, zawiązującej się pomiędzy matką a córką, uczuł się w zakłopotaniu niejakiem. Dyplomacja nie pozwalała mu stawiać wyraźnie po stronie tej lub tej, wygłaszając zdanie własne, którego może nie posiadał.

Szukał więc drogi pośredniej i znalazł takową w zegarku.

Zegarki ogromne w razach podobnych oddają usługi.

Pan Wurski uciekł się do środka tego, wydobyl zegarek z kieszonki, popatrzył, minę zrobił i ściągnął na siebie uwagę hrabiny, która się z wyrazem zapytania odezwała:

— Pan dobrodziej?..

— Nic, pani... mam jeno uczynić panicom propozycję pewną, na którą właśnie pora nadchodzi...

— A to?..

— Trzeba jakoś w Teplic czas przepędzać... Może panie mają już w tym względzie program jakiś...

— To jest... nie mamy programu wyraźnego...

— Wolno mi więc będzie takowy ułożyć?..

— I owszem... i owszem...

— Rozumie się, oddam go pod aprobatę pań i hrabiego...

— Z góry *approuvé*... — wtrącił Fredzio, wyciągając ramię z gestem powagi udanej. Propozycja tem jest cenniejszą, że pochodzi z własnego przez nic i przez nikogo nie wywołanego natchnienia pana Jana Babtysty Wurskiego...

— Zaczniemy przeto dziś od przechadzki

w okolicy Kursalu... Jest to, w miejscach kąpielowych, jedna z rozrywek najpowszedniejszych a zarazem i najprzyjemniejszych... Wieczorem posłuchamy dobrej muzyki...

Panie oddaliły się po kapelusze i parasolki; pan Wurski, w czasie nieobecności ich, zamienił z hrabią słów kilka; za powrotem zaś pań towarzystwo całe — matka z córką i synem przodem, hrabia z panem Wurskim w drugim szeregu — udało się w aleje drzewami sadzone.

Wieczór prześliczny sprzyjał przechadzce. Aleje zappełniły się tłumami chorych, pomiędzy którymi chorzy istotnie stanowili procent wcale nie wysoki. Część o wiele znaczniejsza nie miała, w pobycie swoim w Teplic, leczenia się na celu. Zjechało się. Zjazdy przywiązane są do natury ludzkiej; są i potrzebne i pożyteczne. Ludzkość by ześlimaczała, gdyby się zasklepiała po domach, po wsiach, po miastach własnych, nie chcąc wiedzieć, co się po za niemi dzieje. Zmiana powietrza, klimatu, widoków i towarzystwa zbawienie działa na zdrowie, tak pod względem fizycznym, jak umysłowym i moralnym. Jest to środek-hygieniczny, którego najzdrowsi odmawiać sobie nie mają prawa. Złe, o które moralisci wyjeżdżających za granicę oskarżają, tkwi w nadużyciu, w przesadzie, w przeistoczeniu celu rzeczywistego, odbywajacem się w sposób taki, w jaki się odbywa nadażycie wszelkie. Kieliszek wódki

jest bardzo pożyteczny, szklanka wina jest wielce zdrową; wódka i wino w miarę zażywane zba-
wiennie na organizm działają: a któż nie wie do
jak strasznych nadużycie środków tych prowadzi
następstw!.. Do następstw podobnych prowadzi
nadużywanie podróży i zjazdów, dochodzących
niekiedy do istnego szału. Nie mamy więc by-
najmniej za złe zdrowym, co się do Teplíc zje-
chali w liczbie znacznej. Chorzy reparaowali sobie
nogi, zdrowi korzystali z dni pięknych, zapelniali
chodniki, na których strudzonym nie łatwo przy-
chodziło znaleźć dla spoczynienia ławeczkę wolną.

Towarzystwu naszemu szczęście posłużyło.
Ławeczka znalazła się w samą porę, a to dzięki
innemu towarzystwu z czterech złożonemu osób,
z pośrodku których, gdy hrabstwo mimo prze-
chodzili, słyszeć się dały okrzyki przyjaźne:

— Hrabiemu dobrodziejowi!... hrabinie do-
brodziejce!...

— Ach!... państwo!... pani marszałkowa!...

Wyrazy ostatnie wypłynęły z ust hrabiny
Dzierzejewskiej. Akcentowało je zdziwienie nie
małe.

Marszałkowa z towarzystwem swoim zaj-
mowała ławeczkę, zoczyła hrabiego i hrabinę i
okrzyk wydała.

— Cóż za niespodzianka!... jaka siurpryza miła!
Jakież losy prowadzą tu panią kochaną?... —

zapytywała hrabina. Wybraliście się państwo do Ems...

— Doktorowie nas tu wyprawili... W Wiedniu zwołaliśmy konsylium dla Olesia i konsylium przepisało mu Teplic... Trzeba było się poddać... Oles pije wody i bierze kąpiele...

— Jakże zdrowie pana Aleksandra?...

— Polepsza się... o, widzisz go, hrabino kochana..

Wyrazy ostatnie ściągały się do młodego człowieka, wyglądającego rumiano ale delikatnie, szczupło i tak jakoś, że pomimo iż oblicze jego zdobiły wąsy i całe okazała broda, zdawało się, że jest to kobieta za męczyznę przebrana. W fizjognomiji i w całej postawie jego przebijała miękość niewieścia niby; co zaś w nim szczególnie uderzało, to sztywność nóg, mających pozór taki, jakby przyprawne były. Zresztą na chorego nie wyglądał, zwłaszcza obok jednej z towarzyszących mu dam, zółtej, chudej, słusznej, ostrokościstej, uchodzić z pozorów mogącej za żywe choroby śmiertelnej wcielenie. Za toż druga dama była wcieleniem zdrowia, rumiana, czerstwa, hoża, kształtna i całe nie brzydka.

Ta ostatnia, podczas kiedy marszałkowa rozmową z hrabiną zajęta była, zbliżyła się do panny Julji z powitaniem uprzejmem, któremu towarzyszyło ukradkowe ale przenikliwe na pana Wurskiego spojrzenie. Panie niektóre posiadają talent

widzenia, nie patrząc zgoła. Dama, o której mowa, posiadała snąć talent ten w stopniu wysokim: oglądała Jana Babtystę od stóp do głowy, uśmiechała się wdzięcznie do hrabianki i przemawiała do niej:

— Wiedząc, że do Teplic przyjechać macie, ucieszyłam się mocno, gdy nas na Teplice skazano... O, Juleczko moja droga!...

— Dla nas to niespodzianka prawdziwa... — odparła panna Julja. Ani mi się marzyło, że bym was tu zastała...

— Jakże mnie to cieszy!...

— Cóż pan Aleksander?...

— Och! Oleś!... zawsze te nogi... nogi... Ale -- tu głos zniżyła, widząc że pan Jan Babtysta usunął się w bok kroków kilka — powiedz mi, Juleczko droga, co to z wami za jegomość?...

— Znakomitość... Jan Babtysta Wurski... — odrzekła zapytana po cichu.

— Wurski?... — podchwyciła młoda kobieta lęklivego zdumienia tonem.

— Nie widziałaś ostatnich numerów pism illustrowanych?...

— Ach-a!... Dziwiło mnie też, że mi nie obce, ani twarz, ani nazwisko... Z jakiegoż tytułu znakomitość ta do was się przypytała?...

Ton zapytania tego był taki, że panna Julja uczuła się niejako obrażoną, pomimo, że gdyby ją kto zapytał, nie byłaby w stanie odpowie-

dzieć, co ją właściwie obraziło: czy akcent wyrazu „znakomitość“, czy ton wyrazów „do was“? Uczuła jeno intencję w zapytaniu młodej kobiety, a intencja ta wydała się jej złośliwą. Krew jej do twarzy uderzyła. Zarumieniła się lekko i odparła:

— Spotkaliśmy się w Krakowie... Pan Wurski jest dawnym papy znajomym...

— Przyjechał więc z Krakowa razem?...

— Razem z nami... Zatrzymaliśmy się w Pradze...

— W Pradze... — powtórzyła młoda pani od niechcienia, pilnie opatrując pana Jana Bąbystę, który, niby na pokaz, obracał się nieopodal, nie wiedząc zapewne, że jest przedmiotem rozmowy.

Rozmowę tę przerwała marszałkowa.

— Cesium... — odezwała się. Pójdziemy dalej i ławeczkę naszą ustąpimy hrabstwu...

— Niech państwo ofiary tej nie czynią... — protestowała hrabina.

— Żadna ofiara, pani droga... Odpoczęliśmy i mieliśmy już wstawać, kiedyście państwo nadeszli... — odparła marszałkowa.

— Ależ pan Aleksander...

— Oleś właśnie domagał się wstawania...

Nastąpiły pożegnania i podziękowania, po czem towarzystwo marszałkowej oddaliło się, a towarzystwo hrabiny zasiadło rzędem, hrabia na

prawo, hrabina, hrabianka, Jan Babtysta i hrabicz. Zaledwie pierwsi kroków kilka zrobili, aliści natychmiast wszczęła się mowa o nich.

— Pani marszałkowa Dylska... — odezwała się hrabina — z zięciem, panem Aleksandrem Wyrębą, z córką, p. nią Celiną Wyrębiną i z kuzynką, panną Agatą Zlewińską... Mieli jechać do Ems...

— Dobrzy znajomi państwa dobrodziejstwa?... — wtrącił pan Wurski.

— Niedalecy sąsiedzi...

— I przyjaciele... — dodał Fredzio z przekąsem — pani marszałkowa kocha mamę, a pani Celina Julcię; mama kocha panią marszałkową, a Julcia panią Celinę...

— Dom bardzo zacny... — przerwała hrabina.

— Pani Celina wygląda na młodą mężatkę... — zagadnął pan Jan Babtysta.

— Tak... rok z czemś jak za mąż wyszła...

— I młodego dostała męża...

— Tak... ale...

„Ale“ wyrwało się z ust hrabiny niechcący niby, wyrwawszy się jednak, w osamotnieniu pozostawać nie mogło, dodała więc:

— ...nie szczęści się im... Celinka taka zdrowa, pan Aleksander zaś... zdrowie mu nie dopisuje... Biedny człowiek!...

Westchnęła.

— Jak to dobrze, że się z Julcią nie ożenił!... — odezwał się Fredzio.

Chciał mówić coś jeszcze, lecz go siostra łokciem lekko potrafiła i za rękę silnie ścisnęła.

— Biedny człowiek!... powtórzyła hrabina. Młody, bogaty, przystojny, Celinka młoda i wcale ładna... para z nich taka dobrana!... mogliby być najszczęśliwsi z ludzi, gdyby nie to, że pan Aleksander zostawać musi pod nieustanną lekarzy opieką... Biedny człowiek!...

VII.

Pan Aleksander w rzeczy samej przedstawiał egzemplarz człowieka, zasługującego na polowanie. Sztywność nóg zdradzała w nim przedwczesne maszyny ludzkiej zdezelowanie, zmieniające życie w ciężar, pomimo że losy obdarzyły go wszystkim, coby ciężar ów lekkim uczynić mogło. To też litowano się nad nim na ławeczce, obznajamiając pana Wurskiego ze stosunkami sąsiedzkiemi, jakie zachodziły w okolicy Motowidła. Dzięki półsłówkom hrabiny i niedyskrecjom hrabicza, dowiedziała się znakomitość nasza, że pan Wręba jest małżonkiem upolowanym.

— Polowało się na dwóch, pojmał się jeden... rzekł Fredzio nawpół do siebie. Polowało się w kompanji..

Hrabina, głos podnosząc, zagadła syna, który, skorzystawszy z chwili, znów się odezwał:

— Gruba zwierzyna wziąć się nie dała i jest do wzięcia... Otóż ona... Sunie... Eh, toż to bym nogę podstawiał!..

Słowa te odnosiły się do otyłego bardzo je-

gomości, zbliżającego się do ławeczki z laską w ręku.

— Otóż bym nogę podstawił!..

W chwili tej, jegomość zatrzymał się, kapelusz z głowy zdjął i, odpoczywając za wykrzyknikiem każdym, wywoływać kolejno począł:

— Hrabiego dobrodzieja!.. hrabiny dobrodziejki!.. panna Julja!.. Fredzio!.. uf!.. Co za gorąco, proszę państwa!..

Hrabia podniósł się z siedzenia i podał witającemu dłoń.

— Jakże mnie to cieszy!..

— Panie dobrodzieju!..

— I jakże tam zdrowie szanowne?..

— Dzięki Bogu.. a zdrowie pana dobrodzieja?..

— Jako tako... u!... gdyby nie to gorąco!.. Toć tu, mości dobrodzieju, kąpeli w kąpielach brać nie potrzeba, dość przejść się po słońcu...

Chustką od nosa pot na czole ocierał, wachlował się, włożył na głowę kapelusz, znów się wachlował, postać jeszcze chwilkę i, rozpatrzywszy się, iż nie ma dla niego miejsca, ani na ławeczce, ani nigdzie w pobliżu, pociągnął dalej.

— Dobra partja... — odezwał się Fredzio — trochę tylko za ciężka... Pan Dryndalski o tyle ciężki, o ile pan Wręba lekki... A oto i jeszcze jeden!..

Wskazał palcem na przechodzącą mimo postać. Postać się przesunęła i zniknęła w tłumie. Byłaby ona zwróciła na siebie uwagę i bez ukazania Fredzia, odznaczała się bowiem wśród ludzi, jak się odznacza brylant wśród czeskich szkiełek. Przedstawiała model — model klasyczny, zasługujący na posagowanie, gdyby smak ludzki wykształcił się do tego stopnia, iżby wzorów do posagów szukał w żurnalach mód. Wszystko na niej szykiem trąciło, od stóp zacząwszy, na głowie skończywszy, a ruchów i gestów nie wyjmując. Szedł z wdziękiem i w chodzie na odzieży jego nie było fałdu jednego, któryby się nie zagiał prawidłowie, pomimo że w ruchach widzieć się nie dawał przymus najmniejszy — przeciwnie, panowała w nich swoboda zupełna, wynikająca z pewności siebie, a nacechowana dobrym tonem.

— Któż to?... — zapytał pan Wurski.

— Pan Połtkiewicz.., — odpowiedział Fredzio — na imię mu Gabrjel, inaczej Gabrys, a jeszcze inaczej Brzys .. Nie postrzegł nas, inaczej bowiem nie byłby zaniechał zaszczyć nas, jeżeli nie słówkiem jakim, to ukłonem przynajmniej..

Fredzio się mylił; Gabrys spostrzegł i widział doskonale, ale uważał za rzecz potrzebną przed przystąpieniem do powitania ukazać osobę swoją w całym toalety spacerowej blasku: przesunął się więc raz bliżej, następnie w oddaleniu

niejakiem i dopiero za trzecim przejściem zachnął się, jakby nagle uderzyło go widzenie, cofnął się, dłoń podniósł, zatrzymał ją na chwilę w powietrzu i kapelusz z gracją uchylił.

— *Bon jour...* Państwo w Teplic od dawna?..

— Od wczora... odpowiedziała hrabina.

— Jakże zdrowie?..

— Dziękuję...

— Pozostaną państwo do końca sezonu?..

— Zapewne...

— A potem... do Motowidła?..

— O nie... Mamy zamiar zimę w Dreźnie spędzić...

— Hm... — pociągnął lekko palcami wahającą się mu na piersiach na elastycznym sznurczku lornetkę. W Dreźnie...

Uśmiechnął się, jakby miał co dowcipnego na języku. Chrząknął. Znów się uśmiechnął.

— W Dreźnie ..

— A pańskie zamiary.. jakie?..

— Moje zamiary.. Zamiary moje... Moje zamiary...

Mrugnął i głową w akompaniamencie ręki gest jakiś wykonał, gest którego znaczenie zrozumieć, łatwo nie było wcale.

Panna Julja spojrzała na pana Wurskiego; pan Wurski spojrzał na pannę Julję: po ustach ich przewinał się uśmiech ironiczny.

— Zamiary moje — zaczął Gabryś, nadając wyrazowi ton lekceważenia — nie mają jeszcze celu wyraźnego... Ale, może i ja zdecyduję się na Drezno...

— O!... — odezwał się Fredzio. Czemu nie na Pacanów...

— W rzeczy samej — podchwycił Gabryś żywo, chcąc snać zneutralizować niewczesny żarcik Fredzia — mam zamiar zimę w Dreźnie spędzić... Mam tam kilka dobrych znajomości, kilku przyjaciół, stosunki...

— Będzie mógł pan czas przepędzić przyjemnie...

— Przyjemnie... o!... tak... pomimo że Drezno, to jeszcze zaścianek...

— Czemuż pan nie jedzie do Wiednia lub do Paryża?... — zapytała panna Julja.

— Bo-hm... — uśmiechnął się, chciał bowiem znów coś dowcipnego powiedzieć — bo-hm... Wiedeń?... Paryż?... Dla odmiany, *faute de mieux*, do bre i Drezno..

— Może się pan namyśli jeszcze..

— Nie... Postanowienie już zapadło..

— Tak nagle...

— Ja tak zawsze... Decyduję się w chwili jednej...

— To nie jak pan Gałacer.. — wtrącił Fredzio.

Gabrys chrząknął i uśmiechnął się, chcąc znów coś dowcipnego powiedzieć, podniósł dłoń, głową skinął i zapytał:

— W którym-że hotelu państwo się w Teplic zatrzymali?...

Fredzio adres wymienił. Hrabina dodała:

— Spodziewamy się, iż będziemy mieli tę przyjemność...

— O, pani... — podchwycił Gabrys. Będzie to obowiązkiem moim... A więc *au plaisir*...

— *Au revoir*... — odpowiedziano mu.

Gabrys z gracją kapelusz podniósł, skłonił się i odszedł.

— To znów sąsiad... — odezwała się panna Julja — ale rzadko w okolicy naszej widywany...

— Widać po nim, że na wsi nie przesiaduje... — wtrącił pan Wurski.

— Zjawia się niekiedy, na bardzo jednak krótko...

— Zajęty zapewne... urząd, może praca jaka...

— Artysta... — rzekł Fredzio z westchnieniem — mechanik... filozof...

— Młody człowiek bardzo *comme il faut*... — podchwyciła hrabina — wychowany pięknie i starannie... jedynak u matki, która żyła niegdyś na wielkim świecie, a od lat paru przeniosła się na wieś i buduje nas przykładem pobożności wielkiej...

— Ma pieska Filusia i synka Brzysia...

— Nie żartuj, Fredziu.. — odparła matka — nie żartuj... Są rzeczy, z których się żartować nie godzi...

— Czy do rzeczy tych należą Filuś i Brzyś?... — zapytał chłopak z akcentem naiwności.

— Pani Połtkiewicz doznała w życiu swoim wielkich powodzeń i wielkich niepowodzeń... — ciągnęła hrabina. Młoda świetniała, na starość...

— Przygasła.. — wtrącił hrabia — świetniałaby, gdyby mogła...

— Zasługuje na szacunek. .

— O! i na wielki...

— Całe uczucie swoje zlała na syna...

— I na pieska, mamó kochana...

— Pan dobrodziej — zaczęła hrabina, zwracając mowę do pana Wurskiego — z tych Fredziunia przycinków powziąć musiałeś fatalne o sąsiedztwie naszym wyobrażenie ..

— O, pani.. — tonem protestu odparł zaczepiony.

— I o Fredziuniu nie dobrze pan trzymasz, zapewne...

— Bynajmniej.. przeciwnie... Widzę we Fredziu zdolności postrzegawcze, których on troszeczkę nadużywa, podchwytyjąc w ludziach same jeno złe lub słabe strony, które atoli z czasem na dobrą zwrócą się drogę...

— Prh!.. — parsknął chłopak, nogą kiwając. Widzi mama, iż ja się z czasem na dobrą

zwrócić drogę.. To mi podchlebia... niesłychanie podchlebia... Dobra droga?... Ta dobra droga cieszy mnie bardzo, tylko, życzyłbym sobie, gdy na nią wejść, mieć za towarzysza pana Jana Babtystę Wurskiego...

— Przez przyjaźń dla mnie?... — zapytał ten ostatni żartobliwie.

— Przez przyjaźń?... hi!... Niech będzie i przez przyjaźń.. Dla mnie to wszystko jedno, byleby samemu na drodze nie pozostawać...

Rozmowa, udział w której brali hrabina, panna Julja, pan Wurski i Fredzio, toczyła się jeszcze czas jakiś w tonie żartobliwym i wkońcu ustala. Przerwały ją akordy muzyki, która nagle zabrzmiała. Spacerujący pogarnęli się ku orkiestrze. I znajomi nasi poszli za innymi. Pan Wurski podał ramię hrabinie. Panna Julja wsunęła rękę pod ramię hrabiego. Fredzio, pozostawszy bez pary, wziął w usta główkę od laseczki i pociągnął powoli, wmieszawszy się w tłum, który pary pooddzielał jedną od drugiej i krążył do koła wystawy, z której lały się tony sztuk trafnie wybranych i znakomicie wykonywanych. Arcydziela mistrzów rozlegały się w powietrzu, odbijając się w echach, podchwytywanych przez wąwozy gór Kruszcowych (*Krusne hory-Erzgebirge*) i sprawiając w powietrzu drzenie rokoszne, które uwagę chorych i zdrowych utrzymywało w stanie napięcia. Stosowało się to szczególnie

do tych, którzy w duszy piastowali poczucie piękna. Do tego śmiertelników rodzaju należała panna Julja. Na ramieniu ojca zawieszona, krążyła wśród tłumów, a nie czuła ziemi pod sobą. Unosiła się, zdawało się jej, w eterach, płynęła na tonach — płynęła gdzieś w lazurach na powietrznej fali i roiała. Była nie sama. Ktoś jej towarzyszył, znajdował się obok niej, obejmował ją ramieniem silnem i miał nad czołeni gwiazdę, która w tej drodze jej i jemu przyświecała. Ktoś ów nie był to ani Bethowen, ani Mozart, ani Rossini. Któż to był? Zatrzymywała się kiedy niekiedy, oglądała i zapytywała ojca?

— Gdzież mama?...

Hrabia oglądał się także i odpowiadał:

— Pan Wurski ją prowadzi...

— Pan Wurski... — powtarzała hrabianka.

Gdy zmrok zapadł, muzyka grania zaprzestała.

— Papciu kochany, zgubiliśmy mamę... szukajmy...

Szukali. Obeszli wystawę dla orkiestry raz w kierunku jednym, znów w drugim i spotkali się z Fredziem.

— Nie widziałeś mamy?...

— Widziałem. . pod opieką pana Wurskiego...

— Dawno?...

— Na początku koncertu...

— A później?., .

— Później już nie widziałem...

— Cóż się z nią stało?... — zapytał hrabia głosem zaniepokojenia.

— Okropnego nic, zapewne... Pan Wurski, co ma mi na drodze dobrej towarzyszyć, nie zechce, przypuszczać należy, mamy na złą zaprowadzić...

— Szukajmy ich..

— Gdzie ich szukać mamy?...

— Tu... tam... w alejach. . w krzakach... — powiadał hrabia, głosem niespokojnością przejętym.

— Ani tu, ani tam, papo kochany... Z całym spokojem, jaki ludziom poważnym przystoi, chodźmy do hotelu..

— A matka!... — zawołał hrabia.

— Mama, pod opieką takiej jak pan Wurski znakomitości, nie mogła się dostać gdzie indziej, jak na krzeselko, stojące przed stolikiem, zastawionym serwisem do herbaty... Czeka na nas, zapewne nie sama... Jeżeli papa się zgodzi, chodźmy, przekonajmy się; gdyby zaś przewidywanie moje nie sprawdziło się.. ha!...

— Chodźmy!...

Rzekłszy to, zwrócił się hrabia i przyspieszonym krokiem podążył ku hotelowi.

Przewidywanie Fredzia sprawdziło się co do joty. Hrabina, przed stolikiem herbacianym sie-

działa i oczekiwała, a była nie sama. Towarzystwa dotrzymywali jej pan Wurski, pan Gałacer i Gabryś.

— A co, nie mówiłem !... — było pierwsze Fredzia słowo. Papa tak się był zaniepokoił, co się z mamą stało.. Pewny byłem, że pod opieką pana Wurskiego, nic złego stać się mamie nie mogło...

Nastąpiły powitania, rubaszne ze strony pana Gałacera, eleganckie ze strony Gabrysia. Ten ostatni miał zamiar *paraitre et disparaitre*, musiał jednak uleść uprzejmości, z jaką go hrabina na filiżankę herbaty zapraszała i postawiwszy kapelusz na kominku, zajął miejsce w gronie, które stół otoczyło.

Rozmowa zaczęła się o muzyce. Zagaił ją pan Gałacer.

— Ho !... — zawołał gestykulując — drugi raz zjedzą djabła te Niemcy, jeżeli mnie złapią na br br br hu hu hu i dzień dzień dzień... Żebyć to, mości dobrodzieju, urznęli a od ucha mazura, krakowiaka, to nie mówię.. Człek by tam posłuchał.. Ale... at... bodaj ich tam licho porwało! I niech mi kto wytłumaczy, co to wszystko znaczy...

— To znaczy, łaskawy panie — zabrał głos pan Jan Babtysta — że muzyka... nie jest pana dobrodzieja specjalnością... wrodzoną... i pan dobrodziej jesteś na nią od urodzenia głuchym...

— Słyszę, mości dobrodzieju, wybornie. .

— Słyszeć, to nie dosyć... Słyszysz się dźwięki i brzęki, ucho jednak specjalnie ukształtowane pomiędzy dźwiękami i brzękami dwa rozróżnia, rodzaje, jedne nie zgadzające się ze sobą i sprawiające wrzawę, hałas, drugie łączące się w grona i szeregi akordów, zlewające się w harmonję i wytwarzające melodję... Dźwięki i brzęki ujęte i zestawione w ten sposób znieniąją się w tony, z którymi dzieje się to samo, co z farbami: z pod ręki mistrza wychodzą najpiękniejsze obrazy, arcydzieła, będące przedmiotem podziwu, ale podziwu ze strony tych tylko, którym natura nie odmówiła specjalności widzenia... Jak bowiem można słuchać a nie słyszeć, tak można patrzeć a nie widzieć. . Słyszenie i widzenie jest specjalnością, rozwijającą się, dodać należy, przy pomocy pewnego ukształcenia umysłowego, przyczynającego się wielce do ukształcenia smaku, bez którego nie sposób cenić ani muzyki, ani malarstwa, ani rzeźby, ani poezji, ani żadnej ze sztuk, mających za cel piękno...

— Hm-hm... — odchrząknął głośno pan Gałacer, chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział nic.

— Piękno znajduje się we wszystkim... — odezwał się Gabryś.

— Nawet w słoiku z pomadą... — dodał Fredzio.

— Pozwoli pan sucharków... — podchwyciła hrabina, podając Brzysiówi koszyk.

— Dziękuję pani...

— Śmietanki do herbaty?.. a może koniaku kropel kilka?..

— Bardzo dziękuję...

Uśmiechała się uprzejmie, usiłując zneutralizować wtrącanie syna, zakrawające na impertynencję. Gabrys odśmiewał się z gracją studjowaną, rozchylając usta o tyle, ażeby z po za osłony wąsów pokazywały się szeregi białych zębów.

Pan Wurski znów głos zabrał i wykladał teorię muzyki.

Pan Gałacer od czasu do czasu pochrząkiwał, chciał coś powiedzieć, ale nie mówił nic.

Panu Wurskiemu placu dotrzymywała jedna tylko panna Julja, o tyle jednak, o ile to potrzebnem było do utrzymania go w wenie. Czyniła objeKCje ogólnikowe, na które on odpowiadał; zadawała zapytania, które z jego strony wywoływały objaśnienia, schodzące niekiedy do szczegółów sztuki, lub też wywołujące opowiadania o mistrzach. W ten sposób do wiadomości obecnych przekradło się dużo ciekawości, tyczących się biografij znakomitszych kompozytorów. Pan Wurski umiał być narratorem zajmującym, raz poważnym, znów lekkim i dowcipnym, prowadził opowiadanie z wdziękiem i z wielką, jak się zdawało, rzeczy znajomością.

Hrabianka wsłuchiwała się i wpatrywała w niego.

Wsłuchiwała się i wpatrywała i, bywały momenta takie, w których sama się niejako łąpała na gorącym uczynku uroku, jakiemu się mimowolnie poddawała.

Człowiek ten magnetyzował ją mową. Magnetyzm wlewał się jej przez słuch do duszy i tak na nią działał, że niekiedy gwałt sobie zadawała, ażeby się powściągnąć od okrzyku:

— Ach! panie... jakże mówisz pięknie!.. Jakiś pan rozumny!..

Gdyby przy herbacie klaskanie we zwyczaj było, klaskała by nieraz z duszy całej.

Gdy pan Wurski powiedział coś takiego, co jej do duszy przeniknęło, powodziła oczami po obecnych, jakby w celu sprawdzenia wrażenia, jakie to na nich sprawiło, zapatrując się, rzecz naturalna, na takowe przez pryzmat wrażenia własnego, to znaczy, patrząc a nie widząc. Sama pozostając pod urokiem, nie wątpiła, że pod takimże samym urokiem pozostają wszyscy. Raz jednak, popatrzyła i zobaczyła.

Popatrzyła i zobaczyła.

O! zgrozo...

O mało nie krzyknęła:

— Papo!..

Papa, głowę na piersi zwiesił i spał.

A pan Gałacer!..

Pan Gałacer, w tej właśnie chwili, w której wzrok hrabianki zatrzymał się na obliczu jego, znaczył krzyżyk wielkim palcem na otworze gęby, która się rozwarła tak szeroko, że aż do gardła widać było i przedstawiła się jako otchłań, najeżona na krawędzi zębami.

— Boże!.. — zawołała panna Julja boleści głosem.

— Julciu!.. — zawołała hrabina.

— Pan Gałacer!..

— Co?.. — zapytała matka zafrasowana.

— Po-o-zwoli... może... filiżankę herbaty ..

— Hrrrm... — zagrzmiał zagabnięty.

Hrabia się obudził.

— Pan dobrodziej pozwoli?.. — zaczęła hrabina, zwracając się z uśmiechem uprzejmym do pana Dryndalskiego.

— Dziękuję pani dobrodziejce... dziękuję... — odparł, usiłując powstać. Bardzo dziękuję... pięknie dziękuję... Eh-hę... Dziękuję... Ale to, gadu gadu, a tu już i spać pora... Mój Boże!.. jakże to u państwa dobrodziejstwa czas prędko przechodzi... Ot już i... — tu na zegarek popatrzył — bez mała dziewiąta... No, to już chyba nie pozostaje nic innego, jak tylko, życzyć państwu dobrodziejstwu dobrej nocy... Hrrm... Dobra noc... dobra noc... Życzę państwu snów słodkich... Mnie, wiem co się będzie śniło: br br br bm bm bm... Bodaj tych Niemców licho porwało!.

Skłonił się do koła, hrabiemu dłoń uściskał, wziął kapelusz, laskę i wytoczył się.

Za nim, naciągnawszy rękawiczki i oddawszy ukłon szarmancki, wyniósł się pan Połtkiewicz.

Pan Jan Babtysta wyszedł ostatni. Hrabianka odprowadziła go do progu i przy progu, dłoń mu do uścisku podawszy, rzekła doń z przyciskiem serdecznym:

— Dziękuję panu... dzie-kuję...

VIII.

„Jest że to przyjaźń, czyli też kochanie ?“

Zapytanie powyższe piosenka pewna za każdą powtarza zwrotką.

Zastosujmy je do wyrazu „dziękuję“, wymówionego przez pannę Julję z przyciskiem osobliwym.

Co przycisk ten oznaczał: przyjaźń, czy kochanie ?

Przyjaźń... kochanie. Jest odcień pewny, odróżniający uczucia te jedno od drugiego, ale, odcień tylko. Istota nie różni ich wcale; ktoby zaś koniecznie na różnicę nastawał, to możnaby takową w następujący chyba wyrazić sposób: kochanie pomiędzy dwiema osobami płci jednakiej, to przyjaźń; przyjaźń pomiędzy dwiema osobami płci różnej, to kochanie. Wyraz „miłość“ powinienby być ztąd wydzielony i przeznaczony na definjowanie wyłącznie uczucia w takim razie, gdy płeć żadnej nie odgrywa roli, jak np. pomiędzy rodzicami a dziećmi, pomiędzy siostrami a braćmi. To kategoria inna, czystsza, podnioslejsza, świętsza i, jeżeli rozumem oświecona, to ta-

ka piękna, taka piękna, że, przed nią... klękajcie narody!.. Nie masz przyjaźni, nie masz kochania, która i które iść by mogły w porównanie z miłością rozumną, ojcowską lub macierzyńską — macierzyńską zwłaszcza, jako z natury rzeczy, bardziej usposobioną do wyzwalań się o wpływ widoków samolubnych.

Gdyby społeczność ludzka rozumiała, co to jest miłość macierzyńska, jakżeby ona starała się o matki rozumne!..

Cierpliwości jednak! Rozumienie to świtać już poczyna. Spodziewać się więc należy, że za lat nie wiem ile, matka rozumna nie będzie taką jak obecnie rzadkością. Szczęśliwi pra-pra-pra... wnukowie nasi!

Panna Julja nie była pod względem tym szczęśliwą. Los obdarzył ją papą, którym się chwalić nie było co, i mamą, kochającą, pełną chęci jak najlepszych, ale na nieszczęście, do brze wychowaną. Nieboszczyk hrabia Przytrzymalski na wychowanie córki łożył nie żałując. I wychował też ją; z wychowania zaś tego ta wynikła korzyść, że hrabina uznawała potrzebę wychowywania dzieci własnych. Korzyść to nie mała! Uznawanie potrzeby, w odniesieniu do wychowania, jest warunkiem postępu, torującego drogę sobie na złość i na przekór pętom wszelkim, w jakie go wyzyskiwacze onego ubierają. Nie z czego innego, jeno z uznania potrzeby wy-

chowania, wyszły zakłady edukacyjne klasztorne i stały się wbrew założeniu swemu, kolebką oświaty. Dalszy ciąg tego odbywa się obecnie, tylko już nie po klasztorach, rażących anachronizmem a czasem wyraźnie szkodliwych, a po domach, pod okiem rodziców, prowadzących dzieci po omacku i, pomimo to, wyprowadzających ich niekiedy na ludzi. Zdarza się to wprawdzie bardzo rzadko, zdarza się jednak. I to korzystnie!

Korzyść tę słusznie przypisują duchowi czasu.

Pod wpływem to zapewne ducha czasu, panna Julja, wychowywana na to, ażeby była wychowaną dobrze, naczytała się, odczytała i nachłonęła w siebie mnóstwo wiadomości oderwanych a więcej jeszcze poglądów i opinij, wpływających z całości i zasad, pozostających jedne względem drugich w sprzeczności zupełnej. Powstał ztąd zamęt w głowie dziewczyny — istny las. Ileż to dziewcząt w rodzaju hrabianki, dostawszy się do lasu podobnego, pozostają w nim na gospodarstwie! I jak gospodarują! Jakże rade sobie! Jak się popisują głupstwami maniacznemi, wywracającemi im koziołki na mózgu! Na pewną jednak liczbę dziewcząt tego rodzaju, zdarzają się i takie, które, dostawszy się do lasu owego, pragną wydostać się z niego. Tym jeno przewodnika potrzeba, co by im drogę wskazał. Szukają też, biedaczki — szukają, bądź takiej książki, bądź... takiego człowieka.

Grzebią się wśród książek. Rozpatrują się wśród ludzi.

Szczęśliwy mężczyzna, rozumny a stateczny, któremu w życiowym jego pochodzie, dziewczyna tego rodzaju drogę zajdzie i losy swoje z jego losami złączy!

Z drugiej atoli strony — biada dziewczynie, jeżeli się omyli!

Owem „dziękuję“, wymówionem z przyciskiem serdecznym, panna Julja zaszła drogę panu Wurskiemu.

— Mam ją... — powiedział sobie Jan Babysta. Teraz-że potrzeba jeno rzecz do końca poważnie doprowadzić... nie naglić zanadto, nie zwlekać zbytęcznie, rozłożyć sobie operację całą na tempa i... targu dobić...

Wyrazy „targu dobić“ przywołały mu na myśl Fredzia.

— Oj, ziółko!.. — rzekł i głową wstrząsnął. On jednak przydatnym mi być może...

Rozmyślanie powyższe towarzyszyło rozbieraniu się pana Wurskiego, nie przeszkadzając bynajmniej spokojowi jego sumienia. Rozebrał się, położył, świecę zdmuchnął i zasnął.

W tymże samym, co do minuty, co do sekundy niemal, czasie, rozbierała się i panna Julja i także rozmyślała. Rozebrała się, położyła, świecę zdmuchnęła, nie zasnęła jednak. Napróżno oczy mrużyła. W otaczających ją cie-

mnościach stawały obrazy jakies, oblane światłem łagodnym, pełne ciepła i uroku. Ów las gęsty a ciemny, po którym dotychczas błędziła, przedstawiał się jej pod postacią gaju cienistego, poprzerzynanego drogami i ścieżkami, wychodzącymi z jednego, wspólnego punktu ogniskowego. Za lasem rozłogi, widoki, krajobrazy cudne, świat szeroki, a wszędzie drogi, zabezpieczające od obłądów.

— Boże!.. Boże!.. — powtarzała sobie w duchu.

Myśli jej zbiegały się do jednego punktu:

— Mam go...

I osnuwała punkt ten do koła pajęczyną niby — snuła, tkala — tkanina igrała kolorami, odbijała promienie i sprawiała robotnicy radość niewysłowioną.

Do radości jednak dołączało się troski nieco.

— Mam go... znalazłam: czy atoli nie stracę?..

To jej spać nie dawało. Nie usnęła też, aż nad rankiem, i nie obudziła się, aż gdy słońce zrobiło połowę drogi swojej od wschodu do południa.

W odniesieniu więc do stanu jej duszy, możemy znów wyrażone na czele rozdziału powtórzyć zapytanie:

„Jest że to przyjaźń, czyli też kochanie?“

Jest, zapewne, trochę tego, trochę owego;

nie byłoby zaś ani jednego, ani drugiego, gdyby hrabianka nie znajdowała się w lesie.

Obudziła się z bolem głowy, oddała matce dzień dobry i otrzymała od niej zapytanie:

— No i jakże... dzień dzisiejszy?...

Zapytania tego nie zrozumiała od razu; hrabina je powtórzyła z dodatkiem uwagi, odnoszącej się do dnia wczorajszego, spędzonego dobrze.

— O! i jak dobrze... — odparła hrabianka z westchnieniem.

— Obyż i dzisiejszy upłynął tak samo!...

— Trzeba się zdać na pana Wurskiego...

Rzekła to i rumieńcem żywym się oblała.

Matka rumieniec ten spostrzegła; przygarnęła córkę do siebie, pocałowała ją w czoło i w ucho jej włożyła:

— Dziecko moje, miej ty się na bacności...

— O, moja mamó droga!...

W tej materji córka z matką nie mówiły ze sobą nic już więcej na razie.

Zasiadły do śniadania — do tego śniadania, które damy w hotelach przebywające spożywają w czepeczkach nocnych i w którym z mężczyzn udział biorą sami jeno ojcowie, mężowie, bracia i synowie, uprzywilejowani do oglądania małżonek, sióstr i córek w negliżach. Z przywileju korzystał hrabia, nie korzystał Fredzio. Krzesło jego stało próżne, na zapytanie zaś, gdzie by się

podziewał, hrabia odpowiedział, że zabrał go pan Wurski.

Gdy zabrzmiało nazwisko to ostatnie, hrabina spojrzała na pannę Julję. Panna Julja oczy spuściła.

Zapisujemy to wszystko, jako symptomata — symptomata stanu chorobliwego, jakim jest kochanie, a jakim przyjaźń nigdy nie jest.

A więc, zaroniło się dziewczynie w serduszko ziarenko — niechże kielkuje, strzałki puszcza, rośnie, buja i plon wydaje, byle się jej obróciło na szczęście, na zdrowie, na długie lata. Hrabianka, chociaż hrabianka, dobrym była materiałem na żonę, na matkę i na obywatelkę.

Takiem, co się osoby jej tyczy, jest zdanie moje, którego narzucać nie myślę nikomu. Chcę być bezstronnym, na dowód zaś, że chcenie moje nie jest ud niem żadnem, przytoczę zdanie wręcz mojemu przeciwne, i w tym celu wprowadzę czytelnika do innego hotelu, na inne śniadanie, spożywane także przez damy w negliżu.

W negliżu przy owem śniadaniu widzieć się dawało stopniowanie, wyrażające się trojako: zupełnie, połowicznie i w ćwierci. Negliż zupełny przedstawiała osobą swoją marszałkowa, z powodu zapewne wieku, który ją do tego upoważniał: czepiec na bakier, włosy w nieładzie, postać osłonięta tem jeno, co niezbędnie jest potrzebnem ażeby niewiasta nie wyglądała jak Ewa

przed pokosztowaniem jabłka. W pół negliżu wystąpiła pani Wrębina, zachwycająca w szlafrocach i kokardkach, zdobiących jej głowę bujnym ciemnym okrytą włosom i biust jej, pełny a rozkoszny. Pannie Agacie nie wiele brakowało do ubrania zupełnego — pozostawało jej jeno zdjąć szlafroczek krochmalny, a włożyć suknię.

Marszałkowa, pani Wrębina, panna Agata i pan Wręba otaczali stolik okrągły, na którym figurowały imbryki, filiżanki, koszyk z rogalkami, talerzyk z masłem, noże, łyżeczki, sitko etc. Pili i jedli nie spiesząc się i rozmowę toczyli. Przedmiotem rozmowy byli bliźni, mianowicie zaś i przed wszystkiemi innemi panna Julja.

Odezwaliśmy się o niej z pochwałą: zobaczymy jak ona przedstawiała się ludziom.

— Chce ją — słowa pani Wrębiny — matka lansować... Usiłowanie wyraźne... Ciekawa rzecz, jak to pójdzie...

— Zakroiła na Dryndalskiego... — odrzekła marszałkowa — który może też namysli się na koniec...

Panna Agata chrząknęła, połykając rogalika kawaleczek w kawie umaczany.

— Nie zdaje się... — odparła pani Wrębina — Namysli się i rozmyśli... to człowiek poważny, a Julcia ..

— Ani do stroju, ani do łoju... — podchw-

ciła marszałkowa. Głowina przewrócona... mój Boże!... Trudno wystawić sobie coś podobnego!...

— Przewrócona i zaćmiona... — wtrąciła panna Agata.

— Ale kształtna... — zareklamował pan Uręba — bardzo kształtna... oczy ogniste, usta klasycznie przykrojone, rysy regularne...

— Cóż znaczy to wszystko, jeżeli w głowie chaos a w sercu chłód...

— Zkądże mama wie o chłodzie!...

— Chłód, mój Olesiu... powiadam ci, chłód...

— Czy mama za pomocą termometru serce panny Julji badała?...

— Do czego mi badanie za pomocą termometru! Znam Julję Dzierzejewską na wylot... .

— Nie przeczę... — odparł zięć — ale serce kobiece jest to otchłań, na to się wszyscy zgadzają...

— Otchłań, jak dla kogo... Dla was, panowie, otchłań, dla nas... nie...

Pan Aleksander zrobił minę powątpiewanie wyrażającą.

— Na dowód — ciągnęła marszałkowa — że znam temperaturę serca Julci, powiem to tylko, że gdyby w sercu jej więcej nieco zawierało się ciepła, to panią Aleksandrową Wrębiną byłaby nie marszałkówna Dylska, ale hrabianka Dzierzejewska...

— Czy to dowód?... — zapytał pan Wręba z przekąsu akcentem.

— O!.. proszę cię!.. O cóż chodziło?.. Cesi przecież nie wzięłaś dla posagu...

Pan Wręba zakaszlał się.

— Nie wzięłaś jej bez posagu — ciągnęła marszałkowa — ale nie wносиła ci Czeluścina żadnego, wówczas kiedy Julcia byłaby ci się z ochotą z Czeluścinem oddała...

— Pytanie... — bąknął pan Aleksander.

— Cha cha cha.. — zaśmiała się pani marszałkowa. On wątpi!.. To mi się podoba!.. Spytaj mnie o zabieg, jakie hrabina czyniła, ale...

Tu dłonią pogardliwie machnęła, z gestem takim, jakby gestem tym wyrazić chciała niedołęztwo hrabiny w rzeczy zabiegów.

— W głowinie jak w trybunale... w sercu chłód... a chciałoby to imponować...

— Hrabianka... — bąknęła z naciskiem panna Agata.

— Oj, te tytuły!.. — odparła marszałkowa — zawracają tylko ludziom głowy... Jednakże Dziezjewscy spuszcza ją z tonu, spuszcza ją...

— Spuszcza ją?.. — z pytającym akcentem odezwała się pani Celina.

— A cóż!.. Oto masz: Dryndalski... Połtkiewicz...

— Czyż-by?..

— O!.. Za Dryndalskiego z pocałowaniem w rękę...

— Ale za Połtkiewicza?..

— *Faute de mieux...* Połtkiewicz zresztą.. jest na to, ażeby Dryndalskiego do rychlejszego namyslenia się ponaglić..

Pani Wrębina uśmiechnęła się.

— Co?.. — zapytała marszałkowa

— Nic, mamó droga..

— Śmiejesz się..

— Przypomniałam coś sobie... i na uśmiech mi się zebrało.. To tak miło, uśmiechnąć się niekiedy do samej siebie..

W tej chwili uśmiechnęła się i panna Agata, zesznurowawszy usta. Uśmiechnęła się także sama do siebie.

— Cóż jednak znaczy owa znakomitość...— rzekła pani Wrębina.

— Ów pan Jan Babtysta Wurski?.. — zapytała marszałkowa.

-- Tak, mamó..

— Co znaczy?.. hm... Cóżby miał znaczyć innego, jak to, że do ponaglenia Dryndalskiego służy Połtkiewicz, do ponaglenia zaś Połtkiewicza Wurski.. Jeden pogania drugiego.. znajoma rzecz... To szczęśliwa bardzo kombinacja..

Pan Wręba chrząknął z akcentem wyrazistym. Mógłby nie chrząkać, a powiedzieć, że dzięki podobnie szczęśliwej kombinacji, został małżonkiem pięknej pani Celiny. Poganiał go Dryndalski, kiedy się marszałkowa o niego starała. Należało to jednak do dziejów przeszłości—

tempi passati: dla tego więc zapewne, na wzmiankę o kombinacji szczęśliwej... chrząknął jeno.

Marszałkowa prawiała :

— Hrabina wpadła na drogę właściwą... Czy jej się jednak uda złapać na plewy wróbla starego, to wielkie pytanie... Julcia bowiem... cóż Julcia?.. plewy... Stare wróble nie biorą się na nie...

— Jest w rezerwie wróbelek młody... — odrzekła pani Celina.

— Hrabina wolałaby dla córki starego...

Panna Agata ramionami ruszyła.

— Boć to... — ciągnęła marszałkowa — i nie długo pożyje i Dolinę do Czeluścina dodaje, a Dolina, to nie żarty... Jednego tylko nie pojmuję... — tu rękę na stół wyciągnęła i palcem kiwała, jakby takt znaczyła — jak może człowiek taki zaślepiac się w takiej pannie!..

— Mameczka bo — podchwyciła młoda mężatka — odmawia Julci wszystkiego...

— I czegoż to ja jej odmawiam!.. Odmawiam?.. Cóż jej do nieodmówienia jest?.. Niebrzydka?.. no.. przyznaję... niebrzydka... A zresztą?.. Gdybyś ty niebrzydką tylko była, z pewnością pan Aleksander nie wziął by ciebie... Pannie na wydaniu nie dosyć mieć buzię gładką... Zapewne, nie szkodzi to, ale po za gładką buzią trzeba posiadać coś jeszcze... coś jeszcze, zwłaszcza w obec takiego Dryndalskiego, który do Czeluścina nie przywiązuje znaczenia żadnego...

I coż mu tam po Czeluścinie!.. jemu, co ma Dolinę, mogącą pochłonąć Czeluścinów dwadzieścia!.. Dryndalskiemu potrzeba czegoś jeszcze... o... czegoś jeszcze, powiadam ci, Cesi.. Potrzeba mu koniecznie, czegoś jeszcze..

— Moja mamó!.. — tonem protestacji odrzekła pani Wrębina.

— O... powiadam ci, moje dziecko... — mówiła marszałkowa z zapalem. Potrzeba mu czegoś jeszcze, bez tego bowiem... cóż!.. I on będzie nieszczęśliwy i ona będzie nieszczęśliwą, ona bowiem, powiadam i powtarzam i gotowa jestem na ewangelję zaprzysiędz, ona, Julcia, nie posiada... nie posiada... nie posiada... tego-hm... czegoś jeszcze...

Palec do góry podniosła i znaczący wyraz oczom nadała.

— Kobieta bez tego, chociażby była piękną jak anioł, bogatą jak Rotszildówna, rozumną jak nie wiem kto i co, kobieta bez tego ogromnie traci... A!.. a zresztą, co mi tam!.. Ji!.. Oo!.. Wiem tylko, iż dobryby popelniał uczynek, ktoby przeszkodził skojarzeniu się Julci z Dryndalskim...

Panna Agata usta zesznurowała, głowa zaś jej na długiej szyi zadrzała, jakby z galarety była.

— Bo — ciągnęła zawsze marszałkowa — ja nie wiem, ale wiem, że Dryndalski mógłby być dobrym, bardzo dobrym mężem, ale nie dla

Julci, i mógłby mieć dobrą, bardzo dobrą żonę, ale nie Julcię...

Pannie Agacie głowa znów się zatrzęsła. —

Nastąpiła chwila milczenia, które przerwał pan Wręba zapytaniem od niechcienia rzuconem:

— I kogożby, naprzykład?..

— Kogo?... o, to łatwo powiedzieć... Dryndalski patrzy, pod nosem ma, a nie widzi..

— Hm... — mruknął młody małżonek. Możeby należało na myśl mu nasunąć...

— Ja się tam do tego mieszać nie chcę...

— On przecie mamę kochaną tak poważa — wtrąciła pani Wrębina.

— Zresztą... tak.. natrącić... możeby to ostatecznie nie zaszkodziło...

— Jego, ja myślę — zabrał głos pan Wręba — możnaby tak potrącić, iżby się nie oparł, aż przed ołtarzem, zaprzysięgając wierność i miłość dozgonną pannie Agacie...

— O!... proszę tylko... wymawiam sobie... — odezwała się ta ostatnia, tonem i akcentem takim, jakby się słowami powyższemi obrażoną czuła.

— Czemuż by nie!... — głosem perswazji zaczęła marszałkowa. Ty, moja duszko, masz prawa takie same, jak każda inna... Gdyby przeto...

— Pytanie jednak — przerwała panna Agata — czybym pana Dryndalskiego zechciała...

— I czemuż nie!... Człowiek stateczny, uczciwy, bogaty...

— Cóż z tego!...

— Że nie młody i nie adonis... iii!... na to zważać nie należy, pamiętając, że jesteś trochę od hrabianki starsza... Pomijając to jednak, nie sposób wymyślić małżeństwa lepiej dobranego, jak ty i on...

— Prawda... — wtrącił pan Aleksander — dalibóg że prawda...

Pani Aleksandrowa usta przygryzła.

— Gdybyście się pobrali, uzupełnialibyście się wzajemnie...

— Prawda... — powtórzył pan Wręba.

— Więc... gdyby można... Ale... a... i czemużby nie można!... — zawołała marszałkowa. Dzieją się rzeczy niepodobniejsze.. Dryndalski stara się niby o hrabiankę.. Nie możnaż go od hrabianki odwrócić, a ku tobie zwrócić?... Trzeba jednak...

Zastanowiła się i po obecnych okiem powodziła. Wreszcie wzrok na pannie Agacie zatrzymała.

— Trzeba, najprzód, żebyś ty chciała i trochę ze swojej strony starań dołożyła... Trzeba następnie... do Dryndalskiego wziąć się... To ostatnie nie jest to rzecz bardzo trudna... Dryndalski nie jest to człowiek nieprzystępny... Gdybym, naprzykład... ot... ja zechciała...

— Pani marszałkowo dobrodziejko!... z naciskiem rozrzewnienia a tonem protestacji zaczęła panna Agata.

— Gdybym tylko zechciała ..

— Pani droga!...

— Nie opieraj się, Gaciuniu... — odezwała się pani Wrębina. Nie opieraj się... Kto wie, co z tego wypadnie...

— Co wypadnie!... — podchwyciła marszałkowa. Byle się tylko Gaciunia nie dzieciniła i mnie zaufała ..

— Ach!... — przerwała panna, dłonie podnosząc, — ja bym pani dobrodziejce ufać nie miała!...

— A no... toć się to jakoś urządzi... Hrabina zżółknie i bardziej jeszcze zprzezroczyścieje... Ja nic przez pół robić nie lubię, a mam do niej ansy trochę.. Mamy ze sobą na pieńku... Ona by mnie w łyżce wody utopiła.. Zobaczymyż!... Ona zwabiła tu Dryndalskiego i oskrzydliła go Połtkiewiczem i Wurskim; zdziwi się też, gdy Dryndalski z przed nosa jej zniknie, pomimo że ciężki taki.. Cha, cha, cha...

Podobała się wielce myśl ta pani marszałkowej; śmiała się, ręce zacierała i w humorze jak najlepszym śniadanie kończyła.

IX.

Nie potrzeba było tych zachodów, z jakimi wystąpiła poczciwa marszałkowa, ażeby odciągnąć pana Dryndalskiego od hrabianki. Dryndalski należał do tego śmiertelników rodzaju, co to z łatwością odciągać się dają od wszystkiego. Trudno przyciągnąć go do czegoś, ale, co się odciągnięcia tyczy, dość mrugnąć, skrzywić się, słówko rzucić. Rodzaj ten dosyć jest pospolity, u nas zwłaszcza. Pan Gałacer, człowiek własną niby idący drogą, dawał się prowadzić, gdy chodziło o to, ażeby chód zwolnić. Marszałkowa zaszła go z mańki. Za pierwszym z nim spotkaniem, rzuciła mu wręcz w oczy:

— A!.. winszuję, z całego winszuję serca!..

— Czego, mościa dobrodziejko?

— Tego, żeś się pan dobrodziej bez namysłu zdecydował...

— A!.. — z przestraczem zawołał. Ja?.. zdecydowałem się?.. ja?..

— Nie mówią ludzie o czem innym, tylko o tem...

— Ależ o czym?.. Ja, niech mnie pan Bóg ciężko skarże, nie wiem o niczem...

— Żartuje asan dobrodziej...

— Bodajby mi język uciekł, jeżeli żartuję.. Powiadam pani dobrodziejce, nie wiem o niczem...

— Ale, panie dobrodzieju...

— Niech mnie Bóg ciężko skarże, powiadam asani dobrodziejce!.. Bodajbym trupem padł tu na tem miejscu!.. jeżeli wiem... Chyba że...

— Otóż to!.. — podchwyciła marszałkowa i dodała z miną znaczącą: Zdaje się, żeś się asan dobrodziej pospieszył...

— Chyba że — ciągnął szlachcic — tyczy się to decyzji mojej, co się tyczy Niemców..

— Niemców?.. — zapytała pani Dyłska ze zdziwieniem.

— Tak mi w uszy natrąbili, że zdecydowałem się nigdy w życiu na muzykę nie chodzić...

— Ależ nie o to chodzi...

— O cóż?..

— Asan dobrodziej przyjechałeś do Teplic w celu...

— Aa!.. — zawołał pan Gałacer — no... tak... ale...

— I?..

— I nic, mościa dobrodziejko...

— Zdecydowałeś się...

— Ale gdzież tam... U mnie nie tak łatwo... Ja człek, widzi asani dobrodziejka, nie dzisiejszy,

potrzebuję pierwej namyślić się gruntownie, tem bardziej że, zestawiając wszystkie „za“ i wszystkie „przeciw“, znajduję pomiędzy temi ostatniemi...

— Co?.. — zapytała marszałkowa z pospiechem i przyciskiem, zdradzając w ten sposób zaciekawienie wielkie.

— Hm... — odparł pan Gałacer, przechylając na bok nieco łeb swój wielki, podnosząc palec ku czole i przymrużając oko jedno.

Wstrząsnął głową i nie rzekł nic.

— Wurski?.. hę?.. — rzuciła pani Dylska tonem insynuacji.

— Co za Wurski!.. Nie Wurski, pani dobrodziejko, a Hurski... wyraźnie Hurski...

— Nie Hurski, a Wurski... — odrzekła marszałkowa z przekonaniem.

— Nie Wurski, a Hurski... — zaprotestował pan Dryndalski.

Marszałkowa ramionami ścisnęła i odpowiedziała:

— Zresztą... co mi tam.. Wurski czy Hurski, wszystko jedno... rzecz cała w tem, że, na miejscu asana dobrodzieja, namyślałabym się do brze i długo nad rozwiązaniem zagadki...

— Zagadki... jakiej?..

— A oto tej: czy lepsza młoda wietrznica?.. czy lepsza osoba w pewnym wieku, wytrawna, stateczna, dobra, rozsądna i zalet wielkich pełna?..

— Toż tu zagadka ta rozwiązuje się sama przez się...

— Otóż to jest...

— Chodzi tylko o ową osobę...

— Ej, panie dobrodzieju!.. — zawołała marszałkowa tonem, któremu nadać usiłowała akcent rubaszny nieco. Asan dobrodziej w czepkuś się urodził... w czepku, powiadam panu!..

— A to?.. — zapytał wycieczką tą zdziwiony nieco.

— A to dla tego, że ze wszystkich w okolicy naszej panien na wydaniu znam jedną tylko, któraby się zawahała, czy iść za asana dobrodzieja...

— I któraż to?..

— Która?.. jedna... jednym jedna...

— Hrabianka?..

— A!.. hrabianka?.. jeszcze co!.. Ja Julcię kocham bardzo, jak córkę własną, i niech mnie Bóg broni, ażebym co złego powiedzieć o niej miała... Ale... to nie ona... o!.. nie ona... Powiadam jednak wyraźnie: wszystkie w okolicy naszej panny na wydaniu... nie wszystkie — poprawiła się — a każda z osobna wyszłaby za asana dobrodzieja z wyskokiem, z wyjątkiem jednej...

— Któraby nie wyszła?.. — dokończył pan Gałacer z niejakiem w głosie drzeniem.

— Nie.. tego nie powiadam... Wyjść by wyszła, ale by się pierwej namysłała...

— Cóż to za jedna?.. — zapytał tonem, w którym czuć się dawało żywe zaciekawienie.

Marszałkowa otwierała już usta, w celu wymówienia imienia i nazwiska osobliwej owej panny na wydaniu, lecz się wstrzymała. Odrzekła pół żartobliwie:

— O.. mężczyźni chwalą się nieciekawością...

— Pani dobrodziejko ja, tak... sobie.. bynajmniej zaś przez jakąś ciekawość.. Zastanowiło mnie tylko, że się panna owa namyśla... o.. Namyśla się?.. hm.. Chciałem więc tylko wiedzieć, bynajmniej jednak nie przez ciekawość..

— Chciałbyś jednak asan dobrodziej wiedzieć?...

— No... tak... ale nie przez ciekawość...

— Szukajcie, a znajdziecie... powiada pismo święte...

Pan Gałacer zmarszczył się i palcem za uchem podrapał.

— Szukajcie, a znajdziecie... — powtórzyła marszałkowa.

Pan Gałacer brwiami z ukosa jakoś mrugnął.

— Tylko — dodała, namyślając się niby — potrzeba poszukiwania przeniesć na grunt właściwy...

— Na grunt właściwy?.. — zapytał stary kawaler, tonem w którym dźwięczało żądanie bliższego wyrazów tych objaśnienia.

— Rzecz naturalna... chyba, iżbyś asan do-
brodziej zdecydował się, pomijając Polki, poszu-
kać sobie dozgonnej towarzyski pomiędzy Niem-
kami...

— Ach!.. — krzyknął i dodał z przyciskiem:
Niech mnie pan Bóg broni!.. Jeszcze czego nie
stało!.. A cóżbym ja z Niemką robił?..

— Co?.. nie wiem... W Teplic jednak łatwo,
szukając, od Polek do Niemek zabłądzić...

— A niechże mnie pan Bóg broni!..

-- To się samo ułoży, na niemieckim po-
zostając gruncie...

— Ja też pozostawać tu nie myślę... Chcia-
łem jeno... hm... chciałem tylko...

— Wolno podpowiedzieć asanu dobrodziej-
wi? — zagabnęła marszałkowa.

— A... no... czemużby nie!..

— Chciałeś targu dobić...

-- To jest... no... — zaprotestował. No...
nie... ale... tego...

— I rozmyśliłeś się...

— Ha... — czoło chustką obtarł. Nie roz-
myśliłem się, alem się nie zdecydował, nie zde-
cydowałem się zaś dla tego, że... że — namyslał
się i rzekł z przyciskiem — jest tu jeden sęk...

— Dla rozbicia którego pociągniesz zapewne
asan dobrodziej do Drezna...

— I nie... Ale gdzież tam!... Ja do Drezna?...
Gdzież tam!...

— Hrabstwo tam jadą...

— Niech sobie jadą zdrowi... — odparł, ręką machnąwszy. Bóg z nimi!...

Marszałkowa dokazała swego. Chciała pana Gałacera odciągnąć od hrabianki i odciągnęła łatwiej, aniżeli się tego spodziewać mogła. Pomógł jej w tem „sęk jakiś“ zagadkowy, zagadkowość którego nie zwróciła na siebie uwagi jej wcale. Sęk jakiś?... Co ją to obchodzić mogło Szlachcic każdy ma swój własny „sęk jakiś“, który nie jest czem innym, jeno zajęczkiem w głowie, bzikiem, stanowiącym rodzaj okularów, przez które on na świat spogląda. Fizjologicznie rzecz ta przedstawićby się dała za pomocą węzełka w mózgu, który istnieć musi pod czaszkami szlacheckimi. Szlachcic każdy posiada węzełek ów, nie przeszkadzający mu wcale ani do jedzenia, ani do picia, ani do spania, ani do gadania, a tylko przyczyniający się do regulowania kroków jego w pochodzie życiowym. Dzięki onemu, często się zdarza, że człek, niewiedzieć jak i dla czego, zmienia drogi kierunek: chciał iść w prawo, poszedł w lewo; częściej zaś jeszcze, nie poszedł ani w prawo, ani w lewo, a na jednym w kółko kręci się miejscu, w tem przekonaniu, że kroczy naprzód, poprzedzając wszystkich znajomych, krewnych i przyjaciół. Bziki tego rodzaju, wielce pospolite, nie dziwią nikogo. I marszałkowej przeto nie zdziwił bynajmniej ów „sęk

jakiś“, który pomógł jej odciągnąć pana Gałacera od hrabianki, podejrzywanej przez nią o chęć wydania się za dziedzica Doliny. Przypisała zasługę całą sobie i nie ledwo że nie mówiła: „Ja to sprawiłam, jakżem wielka, dumna!“ — gdy się dowiedziała, iż po dniach kilku pobytu w Tepliu, pan Gałacer wybrał się do Doliny z powrotem. Nie okazywała jednak dumy po sobie. Przeciwnie. Żegnającemu wymawiała pospiech.

— Już?... tak prędko?... i czemuż to ?...

— At, mościa dobrodziejko... Im bardziej rozmyślałam, tem się mocniej przekonywam, że...

— Że co?...

— Że jest jakiś sęk...

— Mój Boże!...

— A no...

— Cóż by to jednak ?...

— Hurski... Wurski... Wurski... Hurski... Licho nadało!...

— Wurski... no... rozumiem trochę... Ale, Hurski? ..

— Ano, widzi asani dobrodziejka... Ten tędy, a ten tędy... Człowiek, dalibóg, jest piłką na tym świecie...

Na filozoficzną tę uwagę, pani Dylska nic do powiedzenia nie miała, ramionami tylko ścisnęła.

Pomyśleć mogła, że pan Gałacer dostał lekkiego na umyśle pomieszania, wiedząc atoli o bzikach szlacheckich, wiedziała, iż żadnego nie potrzeba pomieszania na to, ażeby szlachcic od rzeczy prawić. Puściła przeto mimo uszów uwagę filozoficzną, i życząc panu Gałacerowi dobrej drogi, winszowała mu tego, że się nie zdecydował.

— Na decyzję bowiem, niech mi asan dobrodziej wierzy — mówiła — zawsze pora... Nie dziś, to jutro... Co nagle...

— To djabie... — dokończył pan Gałacer. O tak... o tak... Reguły tej trzymam się i Bogu dzięki, ot jak mnie asani dobrodziejka widzi, nie wychodzę na tem źle... Człowiekowi i służy i płuży... Pobałamucił mnie trochę Hurski...

— Wurski.. — poprawiła marszałkowa.

— Wurski, Hurski... Hurski, Wurski... Padam do nóżek asani dobrodziejki... Do stópek się jej ściele...

— Niech pana dobrodzieja pan Bóg prowadzi.. do miłego widzenia...

— A kiedyż z powrotem państwo dobrodziejstwo?

— Oczywiście... po skończeniu sezonu. Oleś się podreperuje... Zimą spędzimy w Kotliszczach... Oleś odwidzi pana dobrodzieja...

Pożegnali się. Pan Dryndalski wsiadł na kolej, i po dniach kilku podróży, spędzonych

częścią w wagonach, częścią po hotelach, znalazł się na własnych śmieciskach, pod własną strzechą, we własnym charakterze wielkiego męża, rodzaju królika, ograniczonego wprawdzie konstytucją, zajmującego jednak stanowisko bardzo ważne.

Wyrazy „stanowisko bardzo ważne“ wymagają króciuchnego komentarza.

Pan Gałacer Dryndalski był właścicielem tysięcy kilku morgów ziemi. Na ziemi tej mieściło się wsi i przysiółków kilka, zamieszkałych przez kilkaset rodzin wieśniaczych. Śród tych stał on jako punkt środkowy życia i ruchu. Rodziny wieśniacze, acz od poddaństwa i pańszczyzny wyzwolone, od niego zależały. Zależność ta tłumaczy się stosunkiem kapitału do pracy. On przedstawiał kapitał; ludność przedstawiała pracę. Kapitał, pozostając w dowolnem jego rozporządzeniu, nadawał mu faktycznie władzę, której używać mógł na złe lub na dobre, faktycznie więc zajmował stanowisko władcy, dzierżącego w rękach swoich losy znacznej liczby bliźnich swoich. Ciężyła przeto na nim odpowiedzialność wielka. połączona z dogodnościami ogromnemi. Mógł dowolnie czynić złe, czynić dobrze i nie czynić ani złe, ani dobrze, nie narażając się na żadne smutne następstwa. Był przeto panem — panem konstytucyjnym, regulującym odpowiedzialność jak mu się podobało, a ciągnącym ze

stanowiska swego cały pożytek w granicach zakreślonych prawem, które tak u nas jak wszędzie, traktując pracę zgoła po macoszynemu, opiekuje się kapitałem z ojcowską troskliwością,

Człowiek na miejscu pana Gałacera mógłby być ogromnie pożytecznym, nie wychodząc poza granice morgów swoich. Do tego małej jednej potrzeba rzeczy: obywatelskiego rozumienia. Pan Gałacer posiadał wszystko: jednej tylko tej rzeczy nie posiadał.

Niestety!...

Bierzmy go jednak takim jakim był, nie zaś, jakim by być był powinien. Że nie rozumiał, czynić mu z tego zarzutu nie myślimy. przez wzgląd na to, iż kategoria nierozumiejących obejmuje liczbę ogromną szczęśliwców, którym pieczone gołąbki spadają same do gąbki. Nie był lepszym, nie był jednak gorszym od ogółu spółobywateli; nie był mądrszym, nie był atoli głupszym, a tylko nieobrotniejszym jak inni, czyli, wyrażając się dodatnio w tym względzie, poważniejszym, okazalszym, cięższym, stateczniejszym.

Powróciwszy z Teplic, pierwszą sprawą, o której pomyślał, był odpoczynek.

O! zmęczył bo się — sapał, prychał.

Odpoczywał więc.

Dla domowników powrót jego miał znaczenie niespodzianki podwójnej: najprzód, nastąpił

za rychło, powtóre, od kuchty do komisarza wszyscy tego byli przekonania, że jaśnie pan przywiezie ze sobą jaśnie panią z zagranicy. To zwłaszcza ostatnie sprawiło podziw nie mały. Jasna pani zdawała się być pewną, i to tak dalece że każdemu ze służby śniła się z kolei i każdy nad tem jeno przemyślał, jak się jej zalecić najlepiej. Ochmistrzyni na tę intencję, wtorki pościła i masło szafranem zaprawiała. Tymczasem, jasny pan powrócił sam, zmęczony i zaspapany.

I odpoczywał.

Domownicy na palcach koło niego chodzili.

W gronie służby zapanował pewien rodzaj konsternacji.

Oczekiwano na coś — na pierwsze pana Dryndalskiego odezwanie się, wprowadzić mające promyk światła w tajemnicę zagadkową.

Pan Gałacer odzywał się wprawdzie: chrząkał, rozkazy wydawał, żądania stawiał, zapytania rzucał — lecz rozkazy jego, żądania i zapytania odnosiły się do spraw życiowych i porządkowych, nie zaś do ważnej kwestji, która umysły zajmowała. Rzecz przedstawiała się tak: czy harbuza zjadł, czyli też rozmyślił się? Gdyby otaczająca dziedzica Doliny służba do angielskiej należała narodości, nie obesłoby się bez zakładów. Polacy zaś i Polki — czekali. Jaśnie pan udawał

wobec nich sfinksa. Sfinks milczał, oni przeto — czekali.

Nic bo im nie pozostawało innego — zapytać chyba. Każdemu z nich jednak, prędyjby język do podniebienia przysechł, zanimby się odważył pana pytaniem zaczepić.

Stosunek służby naszej do panów jest trochę turecki. *Sen bilir*. W panu, chociażby się on jak najmocniej do nóg stołowych siłą inteligencji swojej zbliżał, przypuszcza się z góry wszechmożność, wszechmądrość i wszechgłębokość, skupione w jednej osobie i niedopuszczające czego innego, tylko hołd.

Sfinks wszedł po dniach paru w zwykły życia tryb: odżywiał się po dawnemu i po dawnemu tronował w Dolinie, nie zajmując tronu królewskiego. Za tron stawała powaga, która najbardziej imponująco występowała w tych dnia chwilach, kiedy pan Gałacer z cybuchem w ręku, otaczając oblicze swoje kłębamii dymu i siedząc w pozycji półleżącej na kanapie, dawał rządcy dyspozycje. W chwilach tych zasługiwał na malowanie, przedstawiał bowiem żywe powagi wcielenie.

Chwila podobna nastąpiła na trzeci dzień po powrocie jego z Teplic.

Rządca stał przed nim; on siedział i, wznosząc oczy do góry rozkazy i zapytania dawał. Naprzykład:

— Co asan myślisz o ręce pod dębina?..

— Jaśnie pan wie najlepiej, co to za ręka...

— Hm... hrm... przeznaczam ją pod pszenicę...

— Słucham, jaśnie panie...

— Myślisz asan iż to dobrze będzie?..

— A, proszę jaśnie pana!.. Czyż może być źle, gdy jaśnie pan rozkaże!.. Ręka pod dębina, w rzeczy samej, nie nadaje się, jak tylko pod pszenicę...

Pan Gałacer pomilczał przez chwilę i po chwili rzekł:

— Pod dębina posiać by należało rzepak...

— Słucham, jaśnie panie...

— Czy to jednak dobrze będzie?..

— Czemużby, jaśnie panie, źle być miało!..

— Powiadasz asan, że ta ręka tylko pod pszenicę...

— Pod pszenicę, albo pod rzepak, jaśnie panie... — odrzekł rządca bez wahania.

— Hm... — zanurzył się pan Gałacer w milczeniu, które przerwał po chwili. Hm.. Pod dębina posadzą się buraki...

— Słucham, jaśnie panie...

— Czy tylko będzie dobrze?..

— O!.. jak najlepiej, jaśnie panie...

— Powiadasz asan, że grunt nadaje się pod pszenicę, albo pod rzepak...

— I pod buraki, jaśnie panie... — była rządcy odpowiedź, wygłoszona śmiało — i pod wszystko, co się jaśnie panu rozkazać podoba...

Następne dyspozycje w podobny odbywały się sposób. Rządca znajdował dobrem wszystko, co z ust pana Gałacera wypłynęło, w odpowiedziach zaś na zapytania unikał starannie powiedzenia czegoś od siebie. Wypadło jednak tak, iż unikanie niepodobnym się stało. Pan Gałacer, zmarszczył się, odsapnął i zapytał:

— No, a cóż tam... kolejnicy?..

— At, jaśnie panie... — machnął zapytany ręką.

— Posuwają się?..

— Ta że się posuwają... Na suchym gruncie sypią groble, co niech pan Bóg broni...

— Zabrali mi ziemi sporo... hm?... jedni powiadają że za pół darmo, drudzy że zapłacili suto... Jak się asanu zdaje?..

— Mnie, jaśnie panie?..

— Tak... asanu...

— Mnie?... Mnie się zdaje... hm... Mnie, jaśnie panie, zdaje się... — zakaszlał się. Mnie?... hrrr?... ah ahah...

— Co asan na to?..

— Ja na to... ot tak, jaśnie panie... Ja na to, przysięgam Bogu, jaśnie panie... co się tego tyczy, to, żeby prawdę szczerą jaśnie panu powiedzieć... ja... tego...

-- Widujesz asan Hurskiego?... — zapytał pan Gałacer nagle.

Rządca drgnął, twarz mu się rozjaśniła, odetchnął jakby mu ciężar z piersi spadł i odpowiedział:

— Co się tego tyczy, to jest... jaśnie panie... kiedy niekiedy... Nie zadaję się z nim, wszelako..

— Gdzież on teraz?..

— Zawsze tam... wedle krzyża... Słysząc, że przeniesie się dalej, jak tylko skończy się ten nasyp, co przez jar przechodzi...

Pan Gałacer mruknął coś pod nosem i w zamyslenie się pograżył. Po chwili westchnął, wypuszczając wraz z westchnieniem gęsty dymu kłęb. Następnie bąknął pod nosem.

— Hurski, Wurski... djabli nadali...

I zapytał:

— Zagląda kiedy do Doliny?

— Nie zajrzał ani razu od czasu, jak jaśnie pan za granicę wyjechał...

— Krewnych nawet nie odwiedzał?..

— Krewnych?.. -- odparł rządca z lekkim zakłopotaniem. Jeżeli odwiedzał, to w niedzielę chyba, kiedym się w kościele panu Bogu modlił... Inaczej, byłbym go widział, jaśnie panie.

Jak się przeto czytelnik, z rozmowy pana Gałacera z rządcą, przekonać mógł, Hurski nie-

był żadną postacią wymyśloną. Owszem — postać ta istniała rzeczywiście, w osobie człowieka niskiej kondycji, należącego do klasy pracowitej. Nazywał się on Jan Hurski i był synem kobiety, która dziwne i nawet zagadkowe trochę przeszła koleje. Miała niegdyś męża, mąż ją porzucił; była przed laty piękna i zdrowa, zbrzydła i zdrowie postradała; zaznała w młodości swojej życia dostatniego, na starość wpadła w niedostatek z nędzą graniczący. Gadano o niej dużo i zarzucano jej to i owo, lecz obmowa cofała się niejako wobec opuszczenia, w jakim się znajdowała, mieszkając w komornem u czynszownika, na łasce prawie — na łasce dlatego, że u krewniaka, który miał chatę, grunt i dzieci gromadę, i nie odmawiał jej przytułku dla tego jedynie, że ona z synem stanowiła dwie gęby w dodatku do dwunastu, z których się składała rodzina Jacka Paliwody.

— Gdzie się żywi gęb dwanaście, tam pożywi się trzynaście, gdzie się żywi trzynaście, tam pożywi się i czternaście — mawiał Jacek, który na podstawie obrachunku tego, gotów był za stołem swoim posadzić ludzkość choćby całą.

Hurska z synem nie zawadzała mu, zwłaszcza jako gęba, nie objadała go, jadając bardzo mało, a tę mu przynosiła korzyść, że dzieciom jego na elementarzu pokazywała i do tego doprowadziła, iż chłopcy jego i dziewczęta wyu-

czyły się czytać i pisać, to jest, bakały na paru książkach, które los zaniósł pod strzechę Paliwody i kreślić umiały wyrazy na zabłąkanych ćwiartkach papieru. Ażeby nauka ta rozwijać się mogła, brakowało jeno książek i papieru. Los jednak przyjaźnym w tym względzie okazał się rodzinie czynszownika. Jedna z dziewcząt jego, Rózia, dostała się na służbę do dworu we wsi sąsiedniej i za pierwszymi u rodziców odwiedzinami przyniosła arkuszy parę zadrukowanych. Druki te sprawiły wrażenie objawienia. Odczytywano je pilnie a uważnie i wynajdywano w nich rzeczy takie, których istnienia nie domyślali się, ani autor, ani czytelnicy zwyczajni. Za drugimi odwiedzinami pojawiło się nowych arkuszy parę, które nie mniejsze sprawiły wrażenie. Rodzaj jakiś olśnienia niby opanował rodzinę, która ustawicznie nadzwyczajne czyniła odkrycia, odnoszące się do nieba i ziemi, do powietrza i wody, do człowieka i życia. Wyrazy techniczne utarte i bardzo pospolite, służące literatom dla ukraszania stylu, wydawały się Paliwodom płci obojej, starym i młodym, zaklęciami kabalistycznymi.

— He... — powiadał stary Jacek — chudo-pacholek chociaż i piśmienny, cóż z tego!... może jeno z książki chwalić pana Boga, który chwalić siebie pozwala i bez książki.. Sekreta wszystkie dla panów... Dla tego też... o...

Westchnął.

Ludzie prości wielką drukowi przyznają potęgę; przyznawanie zaś to jest jednym z tych faktów, z których ciemnota wytłumaczyć się nie umie, który atoli tłumaczy się sam przez się. Druk jest przewodnikiem rozumu, rozum daje znaczenie, znaczenie władzę, władza bogactwo. Umysły nieoświecone, dla których zrozumiałość w dotykalności się zawiera, biorą w łańcuchu powyższym dzwona pierwsze i ostatnie, i wiążąc je bezpośrednio, uważają druk za faktora bogactwa. Druk wedle nich daje bogactwa i z bogactwa dopiero wypływają władza, znaczenie i rozum. Stanowi to rodzaj wiary, głęboko wkorzonej, od której wolnemi nie są wyższe i najwyższe społeczeństwa warstwy.

— Posiada pieniądze, ma więc rozum...

Z twierdzeniem tem spotkać się można na kroku każdym. Pieniądz i rozum są to bracia siamscy, uważani pospolicie za nierozdzielnych. Gdzie się znajduje jeden, tam wnet domyślają się i drugiego. Człowiek rozumny a bezpieniężny uchodzi za wytwór wadliwy, za anomalję, za istotę, której czegoś brak. Brak jej czegoś... w rzeczy samej.

Ludzie tacy, jak rodzina Paliwody, widzą, jakieśmy rzekli wyżej, w druku siłę tajemniczą, sprowadzającą bogactwa w taki niemal sposób, jak zakłęcia, w mniemaniu pospółstwa, sprowadzają urodzaj, nieurodzaj, deszcze, grady, zarazę,

zdrowie, etc. Nie dziw przeto, że z zapalem rozczytywali się w drukach przez Rózię przynoszonych.

Zapał jednak, jak wiadomo, jest objawem przemijającym, jak wszelaki płomień. Wzmagał się do trzecich Rózi odwidzin i następnie przygasać począł. Nie wytrzymał próby czasu, a przytem ostać się nie mógł wobec żywota pracowitego, jaki pędzili Paliwodowie i Paliwodzianki. Chodzenie za pługiem i czytanie książek idą jeno w parze w społeczeństwach, przeniknionych oświatą lepiej i głębiej aniżeli nasze. Czytanie chodzeniu za pługiem ogromnie pomaga, nie u nas jednak. U nas przeszkadza, dla tego głównie, że... źle to wygląda. Inteligent nasz, zapatrujący się na książki, jak na środek rozrywkowy, śmiałby się a za boki brał, gdyby ujrzał chłopa z książką w ręku. E... „u nas inaczej.“ Nas pan Bóg z innej, jak się zdaje, ulepił gliny, aniżeli, naprzykład, Szwajcarów, którzy, co się władz pojmowania tyczy, bynajmniej wyżej nie stoją od nas, u których atoli za śmieszność nie uchodzi widok rolnika rękami własnymi ziemię uprawiającego i przytem czytającego, piszącego, politykującego nawet. W Szwajcarji nie wygląda to źle, dla tego może, że chłopi chodzą tam nie w siermięgach, a we frakach. Jak by tam jednak nie było, dosyć że fakt w ten wyraził się sposób, iż rodzina Paliwody czytała, czytała i w końcu gust

do czytania straciła, z wyjątkiem chorej Hurskiej i jej syna Janka. Tych dwoje chwycili się czytania z gorączkową jakąś ochotą, i, im więcej czytali, tem bardziej pragnęli. Szło to crescendo tak długo, aż się uregulowało w końcu, to jest, aż dostawy Rózi przybrały naturę perjodyczną, powtarzając się w pewnych z góry oznaczonych czasu odstępach.

Głównym atoli ochotnikiem okazał się Janek. Chłopaka coś niby parło z wewnątrz do zadrukowanej bibuły. Pożerał jedno i pożywał czegoś nowego. Nauczył się czytać biegle — czytywał też nieraz w głos w lasku brzozowym, porastającym wzgórze, z którego widok biegł z jednej strony ku Dolinie, mając za punkt ogniskowy pejzażu dwór, rezydencję pana Gałacera, z drugiej wymykał się na rozłogi, na trzęsawiska i ukazywał w perspektywie pałac motowidłowski czerwoną blachą na dachu pobity. Mimo brzeziny przechodziła droga, łącząca Dolinę z Motowidłem. Ta to droga była powodem, dla którego Janek lasek ten sobie wybrał. Tędy, co dwa tygodnie, przechodziła z drukami Rózia, idąc do rodziców w odwiedziny. Przechodziła więc z Motowidła do Doliny.

Wyrazy ostatnie stanowią rozwiązanie zagadki co do pochodzenia druków. Rózia służyła w pałacu, pełniła przy hrabiance funkcję pokojówki, była w łaskach u swojej panienki i miała

od niej *carte blanche*, co się tyczy rozporządzenia pismami czytanemi. W ten sposób, to co nie poszło do kuchni na foremki, przenosiło się powoli do chałupy Paliwody. Rózia nosiła a nosiła i, zapewne, z czasem to by się jej sprzykrzyło, gdyby nie ciotunia, która, nie mając sił do roboty i nudząc sobą, znajdowała rozrywkę i uspokojenie w odczytywaniu foljałów. Obok ciotuni zaś stawał Janek, którego Rózia polubiła bardzo za wdzięczność wielką, jaką on jej okazywał za każdym razem, gdy z pakietem pod pachą przybywała. Chłopak nie umiał się jej dosyć nadziękować, nie znajdował dość dobitnych wyrazów.

— Mojaż ty, piękna!.. — powiedział (dzievucha wcale przystojną była). Moja ty luba!.. Jak ciebie nie kochać, kiedyś ty dobra taka ..

— Dziękowałbyś panience... — rzekła razu pewnego.

— Ta pewno... dziękowałbym... Ale gdzież mnie do niej?..

— Ona ta nie taka harda...

— Cóż z tego!.. Odemnie do niej, jak z ziemi do nieba...

— Gdybyś mógł się dostać do pałacu...

— Jak?.. po co?.. — zapytał Janek.

— Na służbę... Na kredencera... Wyrósłbyś, usługę poznał i lokajem został ..

Przy pierwszych wyrazach chłopakowi, który

liczył już w owym czasie lat osiemnaście—dziewiętnaście, oczy się zaśmiały; przy ostatnich jednak, spuścił oczy, rumieniec lekki na oblicze mu wystąpił i westchnął.

Odbił się w ten wpływ czytania. „Och! te to książki zbójeckie!“

Różia szczebiotała dalej o tajemnicach pałacu, zaczynając od sfery służebnej, od Marcina, który jest niby niańką hrabiego, czyniąc przegląd Michałów, Grzegorzów, Andrzejów, etc., następnie Zós, Fruż, Kasiek etc, przechodząc do sfery pańskiej i kończąc na hrabiance, na której zatrzymała się dłużej.

— Co to za panienka!.. — mówiła — dobra, słodka i śliczna... taka śliczna... Nie widziałeś jej nigdy, Janku?.. — zapytała.

Janek ramionami ścisnął.

— Warto zobaczyć... Oczy dwie gwiazdeczki, włosy jedwab', usteczka korale...

Opis ten odnosił się do panny Julji piętnastoletniej, znajdującej się w tej dobie rozkwitu, w której panienkę każdą owiewają uroki kwiatka, rozdzierającego obsłony, co go w pączku więziły.

Janek słuchał dziewczyny z zajęciem wielkiem, z ciekawością natężoną.

Opowiadanie to Rózi pozostawiło na umyśle, a raczej na wyobraźni chłopca wrażenie. Najprzód starał się hrabiankę zobaczyć. Zobaczył.

Nie było to nic trudnego. Poszedł do Motowidła i przechodząc mimo parku zoczył na ławeczce pod jaworem dwie panie, z których jedna nie zwróciła na siebie uwagi jego wcale, a to dla tego że takową pochłonęła całkowicie druga, odpowiadająca słowo w słowo opisowi hrabianki, danym przez Rózię. Janek nie wątpił, że to była ona. Jakoż ona to była w rzeczy samej, w towarzystwie guwernantki, Angielki z długimi lokami, wpadającemi w kolor czerwony. Angielka uśmiechała się, ona żywo mówiła i parasolką herogliczne znaki na piasku kreśliła

Chłopca widok ten w pewien rodzaj zachwyty wprowadził. Po głowie kręciły mu się wyrazy: „oczy gwiazdki, włosy jedwab”, usteczka korale.“ Stał i patrzył, do miejsca niby przykuty. Patrzył długo, z wyrazami powyższemi w głowie, jakby je sprawdzać chciał. Widział oczy, widział usta i, co do nich, uznawał prawdę słów Rózi.

— Gwiazdki.. korale... w rzeczy samej.. — powiadał sobie w duchu. Ale... włosy?... włosy?... czy istotnie jedwabne?..

I czuł dziwne jakieś a dziwaczne pragnienie, dotknięcia się palcem do warkoczów, połyskujących z daleka odblaskiem, który miał coś metalicznego w sobie.

— Mój Boże.. te włosy...

Włosy sprawiały mu w głowie zawrót niby. Zawrót ten po chwili ustąpił, a miejsce onego

zajęła ciekawość, która zwróciła się na rączkę w rękawiczce, trzymającą parasolkę i kreślącą coś takową na piasku. Zafrapowało go to.

— Coś pisze... — rzekł do siebie. Cóż ona pisze?..

Zapytanie to tak silnie go zajęło, jak człowieka naukom się oddającego zajmować może rozwiązanie ważnego jakowegoś problemu.

— Co ona tam pisze?..

Nie wymawiał tego słowami, ani w myśli nawet, ale coś w nim te słowa mówiło, coś co go przykutym do miejsca trzymało, i wpatrywać się w hrabiankę, a wpatrując się czekać mu każało, aż odejdzie i przez otaczający park rów, wzdłuż którego ciągnęła się barjera, przeskoczyć.

Przeskoczył, do parku się dostał, do ławeczki depcąc gazon dobiegł i stanął. Serce w piersi przyspieszonym biło mu tentnem. Zwrócił oczy na heroglify i przypatrywać się im począł. Było czemu! Hrabianka końcem parasolki poznażyła kreski, linje, kółeczka, zygzaki, wśród których rozpoznać się dawały trzy pierwsze litery alfabetu, A, B, C i przyczepiona do ostatniej sylłaba ał, tak że sylłaba ta wraz z literą uchodzić mogła za intencję napisania wyrazu, zaczynającego się od cał. To mocniej aniżeli kreski, linje, kółeczka i zygzaki, Janka zastanowiło. Począł w myśli przebiegać wyrazy od „cał“ się zaczynające. Znalazł takowych dwa: całość i całować.

— Hm... — rzucał przez nos od czasu do czasu.

Myślał, medytował.

Nagle rzucił się i szarpnął.

Szarpnięcie miało na celu wyzwolenie ucha, które wpadło w żelazne niby kleszcze.

Spróbował i próby od razu zaniechał, przekonawszy się snadź iż byłaby nadaremna.

Żelazne niby kleszcze reprezentowały palce ogrodnika, który obchodząc park i ujrawszy w takowym intruza, zbliżył się, z tyłu zaszedł i za ucho ułapił.

Janek się skulił, podnosząc ramię ku uwięzionemu uchu.

— Co ty za jeden?.. — zapytał ogrodnik i pokręcił.

— Ojoj... — odezwał się chłopak.

— Po co ty tu?..

— Te... ta... oj!.. — krzyknął.

— Dam ja tobie, oj!.. — odparł ogrodnik groźnie. Nauczę ja ciebie, w cudze łazić grzędy!.. Pokażę ja tobie!.. Wytataruję ci tak za skakanie w ogród skórę, że cię rodzony nie pozna tatko... Chodź, synu...

Ton przemowy tej neutralizował z góry wszelką możliwą replikę, wszelkie tłumaczenie, wszelką prośbę. Nie było rady. Nie pozostawało

Jankowi nic innego, jak iść z ogrodnikiem, który, trzymając w jednym ręku łopatę, jak się trzyma broń na ramieniu, drugą prowadził delikwenta za organ słuchu. Prowadził go poważnie i pompatycznie, dogadując:

— Ot ci skórę spiszą!.. Otóż cię obtata-rują!.. Nie byłeś jeszcze tak bity nigdy w życiu... Sprawią ci bał... no!.. Ależ cię oporzędzą, Fedorku!.. A jak ci na imię?.. Fedorek?.. hę?.. A masz ty mamunię, żeby cię pożałowała?.. A zkad ty?..

Janek nie uważał za stosowne odpowiadać na zapytania powyższe, czując się i uznając w tak fatalnem położeniu, w którym, jeżeli można było liczyć jeszcze na pomoc jakąś lub ratunek, to tylko i jedynie ze strony cudu. Cud jeno odwrócić mógł od Janka plagi, jakie go czekały. Nie odpowiadał przeto na pytania, zamierał w duchu i powtarzał sobie tylko:

— Boże... Boże...

Uspodobienie jego było całkiem modlitewne. Modliłby się w głos, lecz na nieszczęście swoje, zapomniał w tej chwili, i pacierza.

— Boże... Boże...

— Hę... hę... — mruczał ogrodnik. Nie pomoże ci, ptaszku, ani święty Boże...

Dogadywał i prowadził, i ha zakręcie ulicy, spotkał się nos w nos z dwiema damami, z któ-

rych jedna miała loki długie, druga włosy jedwabiste. Ta w lokach mruknęła i przez zęby przedziła:

— Shocking...

Ta zaś druga zmieszała się niby i odezwała się głosem srebrzystym:

— Macieju!...

Ogrodnik, ucha Jankowego nie puszczając, cisnął łopatę i zdjął czapkę z głowy.

— Co to znaczy?... — zapytała panienka. Co to za człowiek?...

— A to, proszę panienki — była Macieja odpowiedź — to nie człowiek a huncwot jakiś, urwisz, urwipoleć, projdyswit, ze wsi nie naszej, którego, proszę łaski panienki, do stajni prowadzę, ażeby mu tam, proszę panienki, skórę spisali, raz od zapiętków do czuba i drugi raz od czuba do zapiętków... Niech przynajmniej psia-wiara pamiątkę wyniesie...

— Cóż on zrobił?... Co zawinił?...

— Co zawinił?... co zrobił?... Proszę panienki, złapałem go przy ławeczce pod jaworem...

— Cóż więc!... cóż to z tego?... — odezwała się hrabianka, ona to bowiem była, głosem perswazji dobrotliwej.

— Był w parku!... — odparł ogrodnik tonem takim, jakby morderstwo, naprzykład, zwiastował.

— Toż nie zbrodnia przecie... — odrzekła panienska.

— Nie zbrodnia?!... — zawołał Maciej tonem zgrozy — a cóż zbrodnią będzie?...

— W parku do wzięcia nawet nic niema; jest tylko powietrze do oddychania, powietrze, wspólna wszystkich nas własność...

— Aj, panienko!... co też panienska wygaduje!... Boże mocny!... Jezusie Nazareński!...

Lewą ręką zatkał sobie Maciej ucho, prawą ucha Jankowego nie puścił, i ciągnąc delikwenta, posunął naprzód.

Janek jęknął.

-- Puśćcież mu ucho przynajmniej!... — zawołała hrabianka.

Maciej na wołanie to głuchym się okazał; interwencja ustna nie poskutkowała, co widząc, panna Julja pospieszyła z interwencją czynną, poskoczyła, ogrodnika za rękę dzierzącą ucho Jankowe ujęła i pomiędzy starego a chłopca się wsunęła.

Oślupiała Angielka, oślupiał ogrodnik, oślupiał i Janek. Energja taka we wdaniu się w sprawę do niej nie należącą, wprawiła pomienione trzy osobistości w zdumienie wielkie, które trwało chwilkę. W zdumieniu Maciej puścił ucho i sam jeszcze nie wiedział, co pocnie, ani też co powie, gdy najpierwszy ze wszystkich do opamię-

tania przyszedł Janek. Przez chwilę i on nie wiedział, co począć, ani co powiedzieć. Chwilka ta jednak przeminęła dla niego szybciej, aniżeli dla Macieja, którego z osłupienia wyprowadził dopiero widok Janka, znajdującego się już w oddaleniu kroków dziesięciu przynajmniej od niego.

Oj, zmiatałże!...

— Stój!... poczekaj!... — krzyknął najprzód stary ogrodnik i wnet dodał: łapaj!... trzymaj!...

Janek nie czekał, i pomimo że nikt go nie ścigał, pędził, niby strzała, susem jednym ogrodzenie parku przesadził i w mgnieniu oka znikł.

— O to huncwot, proszę panienki... A co!...

Westchnął stary, brwiami mrugnął i głową kiwał.

— Ot, jaki to teraz świat!...

— Nic się nie stało złego!... — uspakajająco przemówiła hrabianka.

— Licha tam... nic złego!... Takim się, proszę panienki, cieszył, że mu skórę ztatarują, aż tu... o, masz pocichę!..

Panna Julia powiedziała coś jeszcze na uspokojenie starego i odeszła. Orodnik podjął z ziemi łopatę, oparł się na takowej i zadumał. Janek zaś nie zatrzymał się, aż się o parę staj od pałacu oddalił, aż się obejrzał i przekonał, że mu żadne nie zagraża niebezpieczeństwo. Wówczas

dopiero pędu zwolnił. Ubiegłszy jeszcze wiorst parę, począł iść powoli, a nie usiadł, aż za granicą gruntów motowidłoskich, w lasku brzo-zowym.

— O, uch... — ciężko, z głębi piersi odetchnął!..

I sapał; sapiąc zaś myślał.

Najpierwszym myślenia jego przedmiotem było uniknione tak szczęśliwie niebezpieczeństwo. Mróz mu po za plecyma przechodził, gdy sobie wystawiał, coby to było, gdyby go ogrodnik do stajni był doprowadził, inaczej, gdyby mu hrabianka drogi była nie zastąpiła. Mdło mu się na myśl tę robiło.

— Nie wierzyć, że tu w opatrność!... — zawołał. Gdyby nie ona.. Gdyby nie ona...

Opatrzność przybrała postać hrabianki i sta-nęła w wyobraźni jego owiana urokami oczów jak gwiazdy, ust jak korale i włosów jak jedwab'. I ubrała się w ponęty niewysłowione. Nikt opatrności piękniejszą nie wyobrażał sobie.

Tym razem Janek dłużej niż zwykle w brze-zinie pozostawał; położył się, na łokciu się oparł i patyczkiem na ziemi kreślił A, B, C, ał. Po chwili napisał: całuję, i znów napisał: całuję, i jeszcze raz powtórzył: całuję. Następnie dłubał w ziemi patyczkiem, kreśląc obok tego heroglify na wzór i podobieństwo tych, jakie w parku widział.

Bawiło go to, bo przy tem oddawał się rojeniom, które wysnuwał z tej okoliczności, że hrabianka, wsunawszy się pomiędzy ogrodnika a niego, o niego się ramieniem otarła. Wspomnienie to dziwnie słodką sensację mu sprawiało. Czuł na sobie dotknięcie delikatne, aksamitne, a jędrne, od którego mu krew do głowy uderzyła, bijąc szczególnie w to ucho, za które go Maciej trzymał. Ucho też to paliło się płomieniem niby. On jednak nie zważał na to. Absorbowała go całkowicie sensacja, sprawiająca taki efekt, jakby był instrumentem jakimś i miał w sobie struny naciągnięte, a na strunach tych niewidzialna jakaś ręka grała symfonię, która melodją cichą, słodką, rozkoszną napełniała duszę jego całą. Melodji tej wtórowało szemranie listków w lasku brzozywym i brzęczenie komarów w powietrzu. Janek podnosił kiedy niekiedy oczy i puszczał wzrok w kierunku pałacu motowidłowskiego. I wzdychał. I powiadał sobie:

— Ach!.. ona...

Niekiedy jednak drzenie go przejmowało, i w piersi mu się ścisnęło. Wówczas mówił:

— Gdyby nie ona...

XI.

— „Jak się zowiesz?“ — „Janek“, „Janku, cóż ty umiesz?“ — „Psom szyc buty.“

Tak zapytany, nasz Janek takiej nawet nie zdołałby dać odpowiedzi. Cóż on umiał? — nic. Naczytał się, to prawda, ale i to prawda, że z czytania tego pożytek był żaden, ba nawet, wnikając w rzecz głęboko, odniósł ztąd szkodę przez to, że głowa mu się trochę zawróciła. Owo wkroczenie do parku było niczem innem, jeno jednym z symptomów zawrotu głowy. Coś mu się tam po niej snuło — coś takiego, co umniejszało odległość, jaka istniała pomiędzy hrabianką a nim. Zbył niczem propozycję starania się w pałacu o posadę kredencierza, zapewniającą mu w następstwie dostojną funkcję lokaja, dalej zaś, kto wie, i kamerdynera, i marszałka może. Niezbadane są wyroki boże! Z tej sfery wznosił się nie jeden na stopnie tronu. Janek nie na to tak dużo czytał, ażeby znać niemiał losów tragicznych Rizziów, Monaldeschich i nietragicznych Munezów, Marforich, etc., ażeby nie wiedział o ro-

mantycznych mezaljansach, dzięki którym kucharze, furmani i lokaje wychodzą na mężów poważnych i poważanych. Czytanie nauczyło go tego wszystkiego i zawróciło mu głowę tak dalece, że „w imaginacji siadał na koronacji“, garnąc się do hrabianki Dzierzejewskiej, ale, z drugiej strony, mimo przykłady takie świetne jak Muneza i Marforego, toż samo czytanie to sprawiło, iż wszczepiło weń do lokajstwa wstręt nieprzewyciężony.

— Nie... za nic!.. — powiedział wręcz staremu Paliwodzie i matce, kiedy kwestja ta na stół wytoczoną została.

— Janku... — przemawiała łagodnie Hurska.
— Nie...

— Pomyśl jeno... będziesz miał spokój, wygodę... będzie ci jak u pana Boga za drzwiami...

— Choćbym wiedział, że mnie tam złote czekają góry...

— Państwo .dobrzy ludzie: hrabia nieboże, trochę tuman, hrabina pani niczego, hrabicz jeszcze dziecko, możesz zarazem łaskę jego sobie zaskarbić, hrabianka, choć ją do rany przykładaj...

— Nie, mamuńciu, nie... nie strzępcie języka nadaremnie; nic z tego nie będzie...

— Chcesz więc chyba iść na świnopasa!..
— krzyknął Paliwoda zniecierpliwiony. Bo nic tobie nie pozostaje innego... Do pługa nie nada-

jesz się, a zresztą, dobrze chodzić za pługiem, ale za własnym, chodzenie zaś za cudzym, to poniewierka... Ot, dlatego to i ja synów własnych przy sobie nie trzymam...

Wyrazy ostatnie miały znaczenie pośredniej przymówki. Janek, mając lat już bez mała dwadzieścia, mieszkał i żywił się przy Paliwodzie, podczas kiedy trzech jego synów zarabkowało przy budowie kolei żelaznej. Chłopak zrozumiał to i uczuł. Wstyd go przejął, tem bardziej, że narazie nie wiedział co począć, ani co odpowiedzieć. Matka zaatakowała go powtórnie.

— Ty się nie namyślaj długo... — mówiła. Nie zapominaj, żeśmy na łasce u krewnych...

— Na łasce... — podchwycił stary Paliwoda. Imość mi łaską w oczy nie ćwierkaj, boć, chwając Boga, chleba kawałka nie żałowałem i nie żałuję, a tylko, ot co... chłopiec rośnie, rośnie, wyrósł już, Bogu dzięki, pięknie i wyrośnie jeszcze, toć trzeba, żeby o co ręce zaczepił... Do pługa nie łebski, potrzeba mu chleba lepszego: niech więc staje na służbę... Różia służy i dobrze jej z tem...

— I w łaskach jest u hrabianki... — dodała Hurska — masz więc naprzód zapewnione w pałacu względy...

Chłopiec się zakaszlał od wyrazu jakiegoś, który wymówić chciał a który mu w gardle na poprzek stanął.

— Zapewnienie względów przez Rózię nie wiele warte... — rzekł Paliwoda... Trzeba by się postarać o rekomendację...

— Gdzie?... zapytała Hurska.

— Ano... gdzie?... gdzież, jeżeli nie u niego...

— U niego?... — zawołała kobieta tonem zdziwienia.

— A... co tam... Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr... W nim przecie natura przemówi... boć to... boć tego... co natura, to natura: tak, czy owak, a zawszeć to krew swoja... Rekomendacja zaś pańska więcej warta, jak co... Dryndalski tem tylko od Dzierzejewskiego niższy, że nie hrabia... ot co...

Hurska ciężko westchnęła.

— Wołałabym — rzekła — wrogowi się pokłonić...

— Co tam!.. Toć już i zapomnieć pora, a nie zapominać o tem tylko, że gdzie o szczęście dziecka chodzi, tam ceregiele na stronę idą...

— Dziecka... mego... — odezwała się kobieta w zamyśleniu.

— A no... jużci... A nie sposób, ażeby się w nim coś nie odezwało... Byłby chyba nie człowiek, a wprost bydle...

— Ach!.. co też on mi narobił!..

— Powiadam: co było a nie jest, nie pisz w rejestr... Było, przeminęło, przepadło, jest zaś...

syn, dziękować Bogu, nie ułomek... pomyśleć należy o doli jego..

— To prawda... Gdyby tak o mojej myślano... A to co!..

Z rozmowy tej Janek nie zrozumiał ani słowa. Nie domyślił się nawet, o czyją to właściwie rekomendację chodzi. Punkt ten stanął w umyśle jego zagadką, w otoczeniu innych punktów, również zagadkowych. Zagadki wszelkie to mają do siebie, że są ponętne. To też chłopak zajął się wyrazami niektórymi i począł je w umyśle rozkładać, w celu analizowania onych i wyciśnięcia z nich znaczenia jakiegoś. „Boć to... boć tego...” wymówione przez starego Paliwodę ze znaczącym jakimś naciskiem, uderzyło go szczególnie. Zamyślił się i nie zważał już wcale na następujący rozmowy urywek :

— I jakżeż ja tam pójde do niego?.. — było zapytanie Hurskiej.

— No... jak?.. Otóż i masz... odparł stary. Pójdź imość, ot tak...

— Nie o to bo mi chodzi..

— A o cóż?..

— Czy mam pójść sama?.. czy też?..

Tu oczami na syna ukazała.

Stary się zamyślił, głowę przekrzywił, odsapnął razy parę i odrzekł:

— Hm.. hm.. Moja rada... o.. idź wasani z nim...

— Z nim?.. A jeżeli?..

— Co, jeżeli!.. Zjeść nie zje, a przynajmniej na własne zobaczy oczy...

— Gdyby mu o zobaczenie chodziło, toć... przez tych lat blisko dwadzieścia... dowiedzieć by się zechciał przynajmniej...

— Zachciałaś!.. U panów, co z oczu, to i z myśli.. Zapomniał, no... Czy to panowie mało na głowie dźwigają!.. ba to, ba owo.. tu goście, tu karty., łamią sobie głowy i nieraz w łeb się podrapać czasu nie mają... Co panowie, to panowie... Nie jedno im wybaczyć potrzeba...

— Radzicie mi więc?..

— A cóż!. Przyjdiesz i powiesz; tak a tak, wielmożny panie... Oto chłopiec, wyrósł, Bogu dzięki: trzeba dla niego obmyślenie zrobić... Rada moja: weź imość Janka i szoruj śmiało... Kupić, nie kupić, potargować można...

Janek słuchał wprawdzie, ale nie słyszał prawie powyższego urywku rozmowy, dlatego też zdziwił się niemal, gdy nazajutrz matka czysto mu się odziać kazała, i sama ubrawszy się w co miała najlepszego, do iścia ze sobą wewzwała.

— A toż dokąd, mamuńciu?..

— Do dworu.

— Do pałacu chyba?..

— Nie... do dworu...

— Idziemy przecie do Motowidła...

— Gdzież tam!.. Idziemy ot tam, na drugi wsi koniec...

— Do pana Dryndalskiego chyba?

— No... nie inaczej..

Chłopiec ramionami zlekka ruszył i poszedł obok matki, którą kilkakrotnie pytaniami, odnoszącymi się do celu wyprawy zaczepiał, lecz odpowiedzi nie otrzymywał. Hurska usta ścięła i jakby nie słyszała; wzdychała niekiedy i okazywała dziwną jakąś irytację, a przez żółtą barwę, która jej skórę powlekała, przebijała się bladość.

Pochód trwał godzinę niespełna. We wrotach Hurska odezwała się do siebie:

— Byle go jeno w domu zastać..

Na podwórzu oczy spuściła i szła spieszenie, kierując się wprost ku gankowi obszernemu, na którym ustawione ławeczki plecione świadczyły, że służy do siesty zarówno jakoteż i do ozdoby. Z ganku wkroczyła wprost do sieni, a z tej do izby podłużnej, zastawionej szafami i półkami. W izbie tej znajdowało się trzech ludzi. Dwaj z nich przy stoliku w zatłuszczone grały karty, trzeci, młodszy od obydwóch, siedział rozparty. Wejście Hurskiej z synem nie sprawiło na nich żadnego wrażenia. Żaden nie ruszył się, ani nawet spojrzął na nią. Aż zapytała:

— Jaśnie pan w domu?...

— Hę?... — była odpowiedź.

— W domu jaśnie pan?...

— E... ta... gdzieżby się podziewać miał...

Hurska chrząknęła, palcami usta zasłoniła i znów zapytała:

— Nie możnaby widzieć jaśnie pana?...

— Spróbujcie... jeżeli nie napędzi, znak że można...

Jankowi na słowa te krew do głowy uderzyła i rumieniec oblicze zafarbował. Chciał odpowiedzieć coś, lecz nim się namyślił, już matka znajdowała się napowrót w sieni i on za nią wyjść musiał.

— No... — zaczął.

Lecz matka mu przerwała.

— Zostańże tu — rzekła — i czekaj, aż zawołam ciebie...

Rzekłszy to; postąpiła rezolutnie ku drzwiom otwierającym się na prawo od wejścia, ujęła ręką klamkę i zatrzymała się na chwilkę, jakby się wahała, westchnęła, klamkę pocisnęła, drzwi otworzyła i przestępując przez próg ostrożnie, znikła za takowym.

Janek pozostał w oczekiwaniu.

Oczekiwanie, po upływie minut nie więcej jak pięciu, długiem się mu już wydało.

— Co matka tam robi?.. — myślał sobie.

Nadstawił ucho. Zdawało mu się, że słyszy głos matki, mówiącej prędko i z naciskiem niejakim. Kiedy niekiedy wśród mówienia tego odzywał się bas, rzucający monosylaby. Kiedy niekiedy głos matczyn przybierał akcent płaczący. Nagle ucichło, słyszeć się dało stąpanie, drzwi się uchyliły i odezwało się wołanie łagodne:

— Janku..

Chłopak drgnął, postąpił krok jeden ku drzwiom i zatrzymał się.

— Janku... — powtórzyła Hurska — chodź jeno...

Powtórzyć musiała po raz jeszcze trzeci, zanim się Janek próg przestąpić zdecydował.

Pan Gałacer leżał bokiem na stojącej w głębi kanapie, nogę miał założoną na nogę, w ręku trzymał cybuch długi w bursztyn ozdobiony, oblicze jego otaczały obłoczki sinawe i białawe, z po za których, z pod nasuniętych brwi, wyglądały oczy, patrzące bez wyrazu, spokojnie, szklannie.

Janek mocno się czuł zmięszanym, tak dalece, że nie zdołałby na żadną zdobyć się odpowiedź, w razie gdyby zapytany został. Szczęściem dla niego, zapytany nie został. Pan Gałacer patrzył najprzód przez chwilę na niego, następnie chrząknął, w końcu odezwał się.

— No... chłopiec niczego... Cóż z tego?..

— Udaję się względem niego do łaski jaśnie pana.. — odrzekła Hurska.

— Czegoż chcesz ostatecznie?..

— Obmyślenia jakiego...

— Hm... obmyślenia?..

— On ma do względów jaśnie pana prawo niejaki...

— Co za prawo!... — ofuknął się pan Dryndalski. Z prawem podobnem dobrzebym wyszedł, gdybym się w obmyślanie dla każdego wdawał.. A toć, mości dobrodzieju, głowaby mi pękła...

Hurska westchnęła westchnieniem, w którego głębi czuć się dało jęknięcie, i odparła:

— Nie proszę jaśnie pana o co innego, tylko o słówko łaskawe...

— Daj kurze grzędy, to ona zechce wszędy... Najgorzej dać słówko, bo... od słówka do słówka...

— Błagam jaśnie pana o łaskę...

— Od łaski do prawa... od rzemyczka do koniczka..

— Jaśnie panie!... — zaczęła kobieta i urwała.

W piersi doznała ściśnienia; dobrać wyrazów odpowiednich w stanie nie była.

W tej chwili pan Gałacer w cybuch dmu-

chnął; z lulki dym buchnął wraz z tumanem popiołu i pan, dźwignąwszy się z wysiłkiem niejakim, usiadł na kanapie.

— Hej!... — huknął — Szymek !...

Słyszeć się dały kroki prędkie i pojawił się w izbie chłopak kredensowy.

Pan Gałacer, nic nie mówiąc, podał mu fajkę wypaloną i nie odezwał się, aż ten znajdował się przy progu:

— Tylko błaznie, nie nakładaj, ani zbyt twardo, ani zanadto lekko... a nie rozkręć fajki, bo ja ci rozkręcę!...

Po odejściu chłopca, zwrócił do Hurskiej mowę.

— Nie masz czego stać... Ja — uhm... pomyślę, zobaczę... może się zdecyduję... Nie obiecuję jednak nic... dla twego syna...

Trzy ostatnie wyrazy wymówił z przyciskiem.

— Chodzi tylko o słówko, o jedno słówko...
— dodała Hurska jeszcze.

— Ba... toż to i jest, że o słówko chodzi... Ze słówek robi się gadanie, mnie zaś bynajmniej tego nie potrzeba, ażeby z umieszczenia syna twego w Motowidle powstało gadanie jakie... Jeszcze co!... o!... W kabałę, mości dobrodzieju,

wleść łatwo, ale wyleść z niej nie łatwo... — W Motowidle jest panna, która dziś, jutro będzie na wydaniu... Rozumiesz?... No, idź-że sobie z panem Bogiem... Ja pomyślę, zobaczę, ale nie obiecuję nic...

Trudno orzec, czy Hurska zrozumiała co z racyj przez pana Gałacera podawanych; to pewna, że Janek nie rozumiał nic, i wyszedłszy wraz z matką, dziwił się, że ta łzami się przez całą drogę zalewała.

— I cóż tam się złego stało?... — perswadował. W położeniu naszym nie zmieniło się nic, co było, to jest; że pan nieużytym się okazał, to dla czegoż miałby się okazać innym!...

Kobieta długo nie odpowiadała; odrzekła wreszcie:

— Ach! bo ty nie wiesz, Janku, czem ten pan dla ciebie, czem ty dla pana tego...

— Czem-że bym być miał!...

— A!... Tu zaś, dola twoja podobna do chałupki na lodzie... Niech, broń Boże, nie stanie starego Paliwody, ot i skończyło się.. I ja i ty żyjemy z dnia na dzień, ale o mnie mniejsza: ja stara, schorzała, lada moment do trumny się położę... i położę się z tą myślą ciężką, że ciebie zostawiam na łasce ludzkiej.. Ach! Janku!... Prześladować mnie w skonania chwili będzie myśl ta, żem cię urodziła i rzuciła w gnieździe

cudzem, niby ta zuzula... Ach, Janku! jakże ja często obwiniam się sama przed sobą w tem, że taka matka...

— Matuńciu!... — zawołał chłopak słowami i głosem matki do głębi wzruszony.

— Och! dziecko ty moje...

— Jakążbyście matką mieli być dla mnie?..

— Jaką?... Bodaj taką, jak Paliwodzina dla swoich dzieci...

— Alboż co?...

— Ona śmiało powiedzieć może swoim: idźcie i pracujcie, bom ja dała wam życie po ludzku... Ona się macierzyństwa swego nie wstydzi... Ona...

— Matko!... — przerwał chłopak głosem, w którym zabrzmiał dziwny jakiś akcent. Matko!... — powtórzył z przyciskiem, pomyślał, i po chwili milczenia, dodał: a dla czegoż bym i ja pracować nie miał, jak młodzi Paliwodowie?... Cóż to ja?... Czy to ja od innych gorszy?...

Uderzył się dłonią w czoło.

— Że też mi to samemu na myśl nie przyszło!... Ale...

Zmarszczył brwi i począł trzeć palcami czoło, jakby wytrzeć chciał ze środka myśl jakąś, która pod czaszką uwięzła i wyjść się wzbraniała. Matka mu w oczy patrzyła. Wreszcie, ręką machnął i rzekł:

— At!... coś mnie tu przytrzymało; myślałem, że to te pisma, które Rózia nosi, a to coś innego... Ale, basta!... skończyło się...

— Cóż?... — zapytała Hurska z niepokojem.

— Pójdę na linję i stanę do roboty razem z Paliwodami...

— Janku!. odezwała się matka z przestępstwem prawie.

— Alboż to ja od nich gorszy, czy co!..

— Nie to, ale... ale... możeby się dało inną jaką dla ciebie rekomendację wyrobić...

— Na co?..

— Na służbę w pałacu...

— Nie... Ja bym nie potrafił służyć obok niej...

— Obok Rózi?..

— Ach!. nie... Co mi Rózia!. Nie, mamunciu... — proszącym dodał głosem.

Hurska jeszcze starała się synowi perswadować, lecz perswazje jej nie przydały się na nic. Postanowienie młodego człowieka, acz pospiesznie powzięte, było jednak niewzruszonym.

Stary Paliwoda, dowiedziawszy się o takowym, głową kiwał, nie odradzał jednak.

— Kiedy go tam pociągnęło — mówił do Hurskiej — to... hm... niech idzie... niech idzie... Nie przytrzymuj go wasani.. Może też to dola

jego ułożyła się mu tak, jak temu, co w palce stuka... Trafia się niekiedy, że ktoś skarb na drodze znajdzie, a znajdzie dla tego, że go coś pociągnęło i wyszedł z domu o pewnej godzinie, nie prędzej, ani później... Niechże Janek idzie. . Niech go pan Bóg prowadzi, a Matka boża czuwa nad nim... Daj mu wasani na drogę krzyżyk i błogosławieństwo, do którego i ja moje dołączę... Będzie mu bezpieczniej...

Wyprawa Janka nie zabrała czasu dużo. W jednym dniu gotów był ze wszystkim, bo też mógł o sobie powiedzieć wedle przysłowia owego: „wstau, pidperezausia i zo wsim zabrausia.“ Zwłoka cała ztąd pochodziła, że, niewiedzieć dla czego, chciał się przed wyjściem widzieć jeszcze z Rózią, która w odwiedziny do rodziców przyjść miała w niedzielę. Czekał więc. Niedziela nadeszła i Rózia z pakunkiem się pojawiła.

Dziewczyna aż w dłonie klasnęła, gdy się o postanowieniu Janka dowiedziała.

— Na... masz tobie!.. — zawołała. A ja m już panience o tobie powiedziała...

— I cóż?.. — zapytała Hurska.

— Panienska mnie pytała, komu ja te pisma noszę: kto je czyta?.. Jam jej mówiła o Was i o Janku i ona mnie bardzo o Janka rozpytywała...

Chłopak zaczerwienił się po uszy.

— Czyś to nie ty miał ten z ogrodnikiem w parku trafunek?.. — zagabnęła.

Janek zmięszał się, niby na gorącym schwytany uczynku.

— Ty?..

— Ja... — odbąknął.

— Byłóż śmiechu w pałacu!.. Ale, gdyby się dowiedziano, że chciałbyś do kredensu, to by ci już żadnej nie potrzeba rekomendacji... Masz w paniencie protektorę; powiadała, że byłaby nie dała ciebie tknąć, chociażby jej samej przyszło przy tem co oberwać... Ej, Janku, nie idź ty na tę linję, a lepiej...

— Nie!.. — podchwycił Janek.

— Janku!.. — odezwała się matka.

— Nie!.. — odparł. Chciałem przed odejściem doczekać się Rózi i prosić jej, ażeby paniencie swojej odemnie podziękowała i powiedziała... i powiedziała... że... jest na świecie taki Janek, który ją... który ją.. który za nią gotów się dać na drobne posiekać kawałeczki...

Wyrazy ostatnie z ogniem wypowiedział.

XII.

„Trudnym jest początek wszystkiego“. I naszemu Jankowi trudno było zrazu pracować przy nasypach i odsypach, z rydlem, z łopata, w taczkach, trudniej było ru jeszcze oskardem w kamienistym rąbać gruncie i dźwigać ciężary do góry. Zarabiał jednak, to raz, a powtóre, przeszedłszy nowicjat, umiał sobie robotę znośną uczynić. Nowicjat w robocie takiej jak ta, której się młody Hurski chwycił, stanowi próbę bardzo ciężką. Próba polega na trafieniu na miarę właściwą, jaka zachodzi pomiędzy siłami własnymi, a siłą oporu, zawierającą się w przedmiocie pracy. Niedoświadczonemu, po raz pierwszy biorącemu się do rydla lub oskarda, wydaje się, że gdy po-ciśnie lub się zamachnie, to górę zwali. Naduży-wa się więc; kopie lub rąbie z zapalem, który też później odbija się bolem w ramionach, krzy-żach i udach, przygotowując niekiedy o chorobę wymagającą okładów i spoczynku. Przeszedł

przez to i nasz Janek, i to trzykrotnie. Pierwszy raz wytrzymał jeden tylko dzień; jak się położył wieczorem, tak nie wstał, aż na dzień trzeci; drugi raz pociągnął dłużej i odleżał krócej; za trzecim razem wytrzymał tydzień cały i od tego dopiero czasu nauczył się pracować jak należy, oszczędzając siebie a nie marnując czasu. Uregulował się i szło mu składnie.

Nie z samem atoli uregulowaniem się miał kłopot. Przedstawiła mu się do pokonania inna trudność jeszcze.

Praca, fizyczna zwłaszcza, tak u nas, jak wszędzie, u nas jednak bardziej niż gdzieindziej, nosi na sobie stygmat upodlenia. Stygmat ten odbija się na niej. Poniżana, poniża się. Można ją w tym względzie tłumaczyć, usprawiedliwiać nawet; łatwo odszukać powody i wytknąć istotnych sprawców winy; nie sposób jednak temu zaprzeczyć, że zbiorowiska robotników są stemkiem wszelkiego rodzaju zepsucia, posuwanego nierządkiem do granic ostatecznych. Serce, zaprawdę, pęka, patrząc na te zgraje ludzi, zgromadzonych z dobrej a nieprzymuszonej woli, utrzymywanych w porządku za pomocą gorzalki i kija. Serce pęka, w duszy zaś wstręt się do wolności budzi. Bydło -- nie, gorzej niż bydło! Jest to widok taki, który zgrozą przejmuje. Nic wstrętniejszego i okropniejszego wyobrazić sobie nie sposób.

W taką to korporację wcielił się nasz Janek.

Znalazł tam nędzę ludzką w okazałości całej. Za towarzyszy miał wywłoków płci obojej, brudnych, obdartych, we dnie odbywających roboty ziemne ze sztucznym zapalem, rozbudzanych w nich za pomocą wódki, w nocy tworzących rodzaj węzowiska, otoczonego atmosferą, nasiękłą wyziewami alkoholu. Obudziło to w nim wstręt. Po upływie dnia pierwszego, wziął był już przed się postanowienie wynieść się, otrząsając kurz z obuwia. Atmosfera przedpokoju wydała mu się uroczą. Pałac, park, ona, rozgospodarowały się w wyobraźni jego na cały ten czas, gdy go krzyże i ręce bolały.

— Mógłbym — powiadał sobie — nie doznawać tych bólów, a najbardziej nie być razem z tym motłochem, nie słuchać rozmów obrzydliwych, nie patrzeć na poniżenie ostateczne natury człowieczej... Mógłbym być... lokajem...

Wyraz ten, acz ponętny wielce w położeniu jego obecnem, posiadał w sobie atoli coś odtrącającego. Zbliżał się do niego, i zbliżywszy się, nagle odskakiwał. Powtórzyło się to razy kilkanaście — za każdym razem odskok był dalszy, w końcu zaś tak daleki, że już do myśli lokajstwa powrócić nie mógł.

Widzieć się w tem dał wpływ szkodliwy czytania, w skutek którego urobiła się w Janku

fałsz w miłość własną. Anizeli pójsz na lokaja, pozostać wolał w gronie wyrzutków społeczeństwa. Zkądże preferencja ta? — ja nie wiem; i Janek by się z tego wytłumaczyć nie umiał, chyba iżby do sumienia się odwołał, przedstawiając tę rzecz w taki sposób, iż wyrobnik, najostatniejszy nawet, swobodę onego zachowuje w całości, podczas gdy lokaj najwspanialszy takową traci. Inaczej to się wytłumaczyć nie da. Regulatorem w tym względzie jest poczucie, drzeмиące w massach ciemnych, budzące się w ludziach o pojęciach rozjaśnionych. Janek należał do rodzaju tych ostatnich. Stała przed nim otworem karjera: nie poszedł drogą onej.

Lokajstwo bo, liberja, wszelka w liberji karjera, w jakikolwiekby sposób zamaskowana, mają w sobie coś, co nie pociąga człowieka z jakim takim o godności własnej wyobrażeniem.

— Służba!.. — powiecie.

Służba jest dwojaką. Służy się, albo ogółowi, to znaczy i sobie samemu, albo też jednostkom, to znaczy komuś, co na wyłączny swój użytek kupuje czas, uzdolnienie i przekonania równego sobie człowieka. W tym ostatnim razie, sprzedaje się człowieczeńskość, zrzeka się takowej, przestaje się być człowiekiem, a natomiast przybiera się charakter psa, kota, małpy, papugi, lub czegoś podobnego, w galonach, w akselbantach,

w epoletach, w sutych na kapeluszu piórach, w gwiazdach i sprzączkach, samą obecnością swoją na istocie ludzkiej świadczących o potrzebie kompensaty, w zamian za postradaną dostojność.

Czuł to Janek i, pomimo wstrętu całego, jaki w nim towarzysze jego budzili, pozostał wśród nich.

Jak z robotą, tak i z towarzyszami nie szło mu zrazu gładko. I do nich nałamywać się musiał, co przedstawiało nie małą do pokonania trudność. Gdy spostrzeżono pilność jego w pracy z jednej strony, z drugiej zaś wstrzeźliwość we względzie wlewania w siebie napojów gorących, ogłoszono go wnet za pewien rodzaj odstępcy.

— Co ty! — zaczął go razu pewnego drażnić jakiś — ty, widzi mi się, lepszym być chcesz jak drudzy!..

— Chcę robić co mi się spodoba... — odciął Janek.

— Nie pijesz wódki...

— Bo nie lubię... Gdybym lubił, piłbym więcej niż ty...

— Sprobuj... przywykniesz...

— Wolę nie przywykać. .

— Czemu?..

— Chcesz, żebym ci wytłumaczył jak należy?..

— A no..

— Nie spotkałem jeszcze nikogo, co by mnie przekonał, że pić wódkę lepiej, jak nie pić...

— E?.. — odezwał się drągał, robiąc taką minę, jaką, przypuszczać należy, robić musieli ci, którym Sfinks zagadki dawał. Na cóż przekonanie tobie?..

— Na to samo, dla czegoś ty stanął na linji do roboty... Dla czegoś nie stanął do żniwa, albo do kośby?..

— Bo na linji lepsza płaca..

— A z tą płacą tobie dogodniej?.. prawda?..

— Prawda...

— Tak samo i mnie dogodniej z pićm wody, jak z pićm wódki...

Drągał nie odpowiedział na to nic. Zanotował sobie jednak słowa Janka w umyśle i zastanawiać się zaczął nad kwestją picia wódki ze strony praktycznej. Zastanawiając się, i jemu wydawać się poczęło, że dogodniej wódki nie pić, aniżeli pić.

Mniemanie to, od drągala jednego przeszło do drugiego, od drugiego do trzeciego, od trze-

ciego do czwartego, i t. d. Odbywało się to na drodze bardzo powolnej i nie bardzo pewnej. Wódka wywiera wpływ, czarodziejski niemal; moc jej tak jest wielką, iż przeciwko niej nie przemogą bramy piekielne. Jedna tylko straszną jest dla niej potęga: potęga oświaty — ta atoli świeciła nieobecnością wśród zgrai, grzebiącej się w ziemi na rachunek towarzystwa akcyjnego, a na korzyść przedsiębiorcy robót, któremu sekundował żydek poczciwy, pełniący funkcję kantyniera i zarazem stręczyciela, dostarczyciela rąk roboczych, poczciwy, luby, słodki, usłużny, przytem cymbalista dystyngowany. W budce jego, nakształt szafasu naprędce skleconej, nie znajdowało się jeno mleko ptasie, zresztą zaś wszystko, czego tylko — jak się robotnicy rusińskiego pochodzenia wyrażali — „dusza zabażała“: napoje, jadło, towary, lekarstwa, porada i pożyczki. Jukiel Behr w rodzaju swoim przedstawiał wszechstronność w swojej budzie przenośnej, w której się obrócić nie było gdzie, mieszkała w niej jednak rodzina, złożona z osób kilkorga. Jukiel był czarodziejem: rządził wszystkim, pomimo że władzy żadnej nie posiadał, panował, pomimo że się sam najpośledniejszym uznawał, był potrzebnym, pomimo że się bez niego i bez usług jego najwygodniej obejść by można. Rola, jaką odgrywał, wynikała całkowicie z tej atrakcji, jaką wywiera wódka. Przeciwko niej mniemanie, jakiego Janek drągałowi udzielił, nie mogło nic.

Nasz Janek, nie z wyrozumowania, ani też z wyrachowania, a tak jakoś, instynktownie, nie stawiał się bynajmniej, wśród robotników, w charakterze czyszczącego bagno robocze hociana. Nie wyróżniał się niczem. Mimo to, dla tej jedynie racji że w picciu wódki upodobania nie znajdował, zajął stanowisko odrębne. Pomawiano go o dziwactwo, o niepełność zmysłów, o głupkowatość. Pomawianie to doszło do uszów Jukła. Żyd pocziwy zapragnął znajomość z nim zabrać.

Pragnienie Jukła uskutečniło się z łatwością. Janek kupował u niego artykuły pożywienia, gdy więc razu pewnego przyszedł po takowe, żyd go zaczepił.

— Nie napiłbyś się wódki kieliszka?..

— Nie...

— Nu... za moje zdrowie..

— Będziesz zdrow i bez tego...

— To za swoje własne...

— I... moje obejdzie się bez wódki..

— Czy ty może przysięgał?..

— Nie...

— Czemuż ani skosztujesz nigdy?..

— Taka już widać moja natura...

— Ny.., nie ma co mówić, to natura dobra, bardzo dobra.. Gdyby ino wszyscy naturę taką mieli...

Janek z zadziwieniem niemałym popatrzył na żyda, mówiącego wbrew interesowi własnemu. Jukiel ciągnął:

— Gdyby wszyscy inni taką naturę mieli, to nie byłoby tylu pijaków, gdyby tylu pijaków nie było, to byłby na świecie porządek inny...

— A dla czegoż ty... dla czegoż... — zająknął się Janek — dla czegoż szynkujesz?..

— Jakże ja szynkować nie mam, kiedy są pijacy...

Wyrażone w ten sposób prawo filozoficzne, że przyczyna rodzi skutek, i ekonomiczne, że popyt wywołuje podażę, znalazło Janka do odpowiedzi nieprzygotowanym. Uderzyła go jeno szczerłość Jukla. Zrobił minę, jaka się robi zwykle, gdy nie ma nic do powiedzenia i zabierał się do odejścia, gdy żyd zatrzymał go zapytaniem:

— Słuchaj... a piśmienny ty?.

— Albo co?..

— Ny.. ot, zapytanie mi do głowy przyszło.. Zeby nie być pijakiem, trzeba ażeby do tego jakaś była racja..

— Więc wszyscy piśmienni nie pijacy...

— Nu, co to, to nie... Nie dosyć być piśmiennym, ażeby nie być pijakiem, ale dosyć nie być pijakiem, ażeby być piśmiennym..

— I czemuż to?.. — zapytał chłopiec z ciekawością.

— Tak to ono... Człowiek potrzebuje cze-
meś głowę zalewać... nie wódką, to piwem...

Janek uśmiechnął się do siebie i lekko głową
pokiwał, przypomniawszy sobie rozkosz, jaką mu
czytanie sprawiało.

- Nu, więc cóż: nieprawda, żeś piśmienny?..

— Prawda...

— I chętniebyś kiedy niekiedy poczytał
sobie?..

— O...

Nie wygłosił jeszcze tego, co miał po „o“
powiedzieć, kiedy już Jukiel gazetę mu podał.
Gazeta była w opasce pocztowej, na której znaj-
dował się adres: Jukiel Behr, na linii kolei że-
laznej, tam-a tam.

— Trzymacie, panie szynkarz?.. — zapytał
Janek z półrozzewnieniem, a oczy się mu śmiały.

— Dla ludzi.. Przedsiębiorca zajrzy czasem,
inżynier lub z dozorców który do ręki weźmie..
Lubię dogodzić każdemu...

Janek gazetę przeczytał, Juklowi pięknie po-
dziękował i do roboty odszedł.

Gazeta wy pośredniczyła stosunek naszemu
Jankowi, najprzód z kantynierem, następnie z do-
zorcami, dalej z inżynierem i z przedsiębiorcą.
Domyślać się można iż Jukiel użył jej w rodzaju
przynęty, takiej samej, jaką jest ona po szynko-
wniach dobrego tonu, zwanych cukierniami i ka-

wiarniami, po których ułatwia zbywanie spirytualjów. Przypuszczał zapewne, że zwabiony do czytania robotnik zechce gardło odwilżać i powoli zasmakuje. Jeżeli takim jednak było przypuszczenie Jukła, to zawiódł się. Młody Hurski czytywał bardzo chętnie i pilnie, lecz do odwilżania gardła używał wody. Żyda to nie zrażało wcale. Owszem. Okazywał dla Janka względy większe aniżeli dla innych, tem bardziej, że i przełożeni względy dla niego okazywać poczeli.

Względy atoli przełożonych nie nastąpiły w skutek tego, iż go widywali z gazetą w ręku. Inne wpłynęły na to powody. Zdarzyło się raz tak, że w prowadzony przekop rzuciła się woda i zagroziła perspektywą szkody wielkiej, albowiem trzeba było dla niej tego co się zrobiło zaniechać, a linję inaczej przeprowadzić. Inżynierowie zeszli się i medytowali, przedsiębiorca włosy sobie rwał w desperacji, wywołując co chwila:

--- Zgubionym!.. zrujnowany!.. Zrujnowanym!.. zgubiony!..

Robotnicy krzyków tych obojętnie słuchali.

Janek słuchał jak inni; po chwili jednak, widząc snadź inżynierów medytujących, i on medytować począł: przypatrywał się, rozpatrywał, odchodził, zachodził, oglądał się, miarkował. Miarkując, oddalił się i znikł. Na zniknięcie jego nie uważał nikt. Inżynierowie dosyć obojętnie

słuchali zaklinań przedsiębiorcy, który ze łzami prawie o ratunek ich błagał.

— Zlitujcie się, panowie! — wołał. Z krete-
sem przepadnę, z żoną i z dziećmi z torbami
pójdę!...

Wzruszali jeno ramionami. Jeden powiadał,
że trzeba szluzę murować, drugi, że należy całą
trasę zmienić, trzeci oświadczał się za kanałem
ogroblonym i za mostem przez kanał żelaznym.
Obecny konsylium temu Jukiel nic nie mówił,
tylko głową kiwał i wlepione w płynący przeko-
pem nurt oczy trzymał. Wzrok jego zdawał się
malować następujące wyrazy:

— Jak ta woda, Dudo (Dudą nazywał się
przedsiębiorca), tak upływają nadzieje i rachunki
twoje... Upływają... upływają...

Melancholję wyrażał wzrok żyda. Nagle oży-
wił się nieco i zamigotał; brwi się mu zmar-
szczyły, niby na widok zjawiska zagadkowego;
Jukiel pejsy palcami pogładził, jarmułki na głowie
poprawił i odezwał się:

— Ny... ta woda... wona plinie, plinie, ale
już nie tak...

Słowa te zwróciły uwagę inżynierów. Wpa-
trzyli się w przekop i w rzeczy samej, dostrzegli
znacznego umniejszania się nurtu, tak pod wzglę-
dem szybkości, jakoteż pod względem ilości.

-- Hm... -- mruknął jeden.

— E?... — odezwał się drugi.

— I!... — był głos, który wydał trzeci.

Poczęli się oglądać na łożysko strumienia w górę onego i dostrzegli fenomenu tegoż samego, co w przekopie.

— Rzecz ciekawa... — bąknął jeden.

I w celu zapewne sprawdzenia fenomenu tego, postąpił kroków kilka, potem jeszcze kilka, dalej znów kilka; za tym jednym udali się wszyscy obecni i idąc powoli a zatrzymując się co chwila, obeszlą wzgórze niewielkie, za którem przedstawiło się im od razu rozwiązanie zagadki. Za wzgórzem istniał nasyp w kształcie grobelki, zrobionej snadź przez właściciela gruntu. Nasyp ów odwracał strumień z dawnego jego łożyska i kazał mu opływać wzgórze z tej właśnie strony, z której przechodziła trasa drogi żelaznej. Poziom przekopu, znajdując się niżej trochę, ściągnął wodę na linję. Na zaradzenie wypadkowi podobnemu sztuka inżynierska posiada sposoby rozliczne; najprostszy jednak przedstawiał się na gruncie, a zależał na przekopaniu nasypu dawnego — co też, nic nikomu nie mówiąc, uskutecznił Janek, którego inżynierowie, przedsiębiorca i Ju-kiel zastali przy robocie. Przekopał rowek i kończył właśnie rozszerzanie onego. Rowkiem płynęła już mętna woda.

Trudno opisać uradowanie, jakie przejęło imć Leonarda Dudę.

— Zbawco!.. dobrodzieju!... — krzyknął, przyskakując do Janka — kop jeszcze, kop, niech ta woda, która mi takiego napędziła Piotra, odpłynie sobie do licha jak najdalej!... A jak skończysz, przyjdź do mnie, dam ci kwit do Jukła na pół kwarty wódki...

Jukiel skrzywił się na słowa ostatnie i dłonią machnął.

Czyn przez Janka dokonany nie był nadzwyczajnością żadną. Wątpliwości nie ulega, że inżynierowie, zbadawszy miejscowość bliżej, byliby zarządzili nie co innego, jeno przekopanie nasypu; nie zarządzili zaś tego dla tej jedynie przyczyny, że się nie kwapili za szczegółowem oglądaniem przypadkowości terrenu. Janek ich w tem wyprzedził. Na tem polegała cała z jego strony zasługa, która atoli czegoś dowodziła. Wraz z Jankiem pracowało w tym punkcie robotników kilkudziesięciu, obznajomionych z miejscowością tak samo jak on. Żaden jednak nie wpadł na pomysł; żaden na gratyfikację półkwarty wódki nie zasłużył. Przyczyna tego nie była wcale nadnaturalną. Janek posiadał umysł bardziej aniżeli towarzysze jego rozwinięty, bardziej ukształcony, a zatem czulszy na wrażenia z zewnątrz przychodzące. Umysł taki, zdaje sobie sprawę ze wszystkiego co czyni, zastanawia się i kombinuje, poszukując przyczyn racjonalnych. Do przysposobienia tak umysłu młody Hurski doszedł nie ina-

czej, jeno — czytaniem, ezytaniem, którego korzyść, zrazu żadna, ba nawet ujemna, ukazywać się nareszcie poczynała. Nie ucząc się specjalnie, pojął jednak tajemnicę powierzchni pochyłej.

Gratyfikacja pół kwarty wódki, po którą Janek nie poszedł, nie pozostała jedynym wdzięczności pana Dudy wyrazem. Przedsiębiorca awansował go niebawem na dozorcę, i to do mostu. Tu także wykształcenie umysłu pomogło mu wielce, pojął tajemnicę konstrukcji, zrozumiał rysunek planu, doszedł reguł rachunku, odnoszącego się do materiału i do czasu. Po skończeniu mostu, przeniósł go pan Duda, zawsze w charakterze dozorczy, na teren kamienisty, gdzie potrzeba było za pomocą min działać.

Jesień miała się ku końcowi. Z robotami pospieszano, ażeby wykonać takowych ilość jak największą przed zimą, która się szybkim zbliżała krokiem. Korzystano z dnia każdego, z każdej godziny pogodnej, tu wykończano, ówdzie osłaniano, gdzieindziej znów przedsiębrano środki zabezpieczające przeciwko destrukcyjnym wpływom mrozów i śniegu. Naraz ustać musiało wszystko. Boreasze i Akwilony zapanowały nad światem, skazując pracującą w polu część ludzkości na kilkumiesięczną przymusową bezczynność.

Przed mieszkaniem przedsiębiorcy zebrała się gromada ludzi, którzy przyszli po zapłatę i

z pożegnaniem. Pan Duda wyzywał po jednym, pieniądze wręczał i każdemu z osobna powtarzał:

— Krzywdy nie miałeś, działo ci się dobrze: pamiętajże na wiosnę powrócić...

Na pożegnanie dawał każdemu wódki kieliшек i obwarzanek. Wydał wreszcie obwarzanki co do jednego, kiedy przystąpił do niego Janek.

— A ty po co? — zapytał.

— Po zapłatę, proszę pana...

— A!... — zawołał pan Duda i dodał żartobliwie: dałbym obwarzanek, gdyby był, ale płacić ci ani myślę...

— Chciałbym matkę odwiedzić... — odparł chłopiec nieśmiało.

— Co tam!... Odwiedzisz ją po skończeniu roboty...

— Ależ, wielmożny panie Dudo...

— Nie strzęp języka nadaremnie... Jesteś mi potrzebny i kwita; rachunków i obliczeń mam przed sobą wyżej głowy... Zostaniesz ze mną; dam ci pomieszkanie, stół i pensję miesięczną... będziesz pisał, rachował i obliczał...

— Matka... nie widziałem jej siedm miesięcy...

● — Gdy ją zobaczysz za miesięcy dwadzieścia siedm, to i jej i tobie będzie milej... A gdzie ona?... — zapytał.

— W Dolinie, koło Motowidła...

-- Tamtędy właśnie przechodzić ma nowa linja kolei, która się za lat parę budować będzie... Co tam, jednak!... Zostaniesz, powiadam tobie, i kwita... Będzie ci i nie głodno, i nie chłodno, tylko do domu trochę daleko... Jeżeli ci smutno, to popłacz sobie, od jutra zaś do roboty zasiadaj... Rozumiesz?... A no... Bywaj zdrów...

XIII.

Nie będziemy wchodzić w szczegóły dalszej Janka kariery, które nie przedstawiały nic osobliwego, z wyjątkiem chyba tego, że na stopniu każdym miały za podstawę pracę rzeczywistą i wcale nie łatwą, ale owocną, a to z tego względu, że stopień każdy miał się do poprzedniego, jak wynik do przyczyny. Z powodu iż umysł młodego człowieka posiadał przysposobienie, całe pracowanie jego było nie wzwyczajaniem się mechanicznem do fabrykowania regestrów i planów i do prowadzenia robót, lecz, wtajemniczaniem się w sposoby, za pomocą cofania się od skutków do przyczyn, nauczaniem się, w którym praktyka poprzedzała teorię. Praca utworzyła dla niego szkołę, która rozpoczęła się na gruncie z rydlem w ręku, ciągnęła się w kancelarji przedsiębiorcy i zaokrągliła się w biurze inżyniera. W kancelarji i w biurze wpadły mu w ręce książki, dzięki którym nabył obszerniejszego na rzemiosło poglądu.

Były to wszystko owoce pierwotnego bezużytecznego czytania.

Gdy się linja skończyła, nasz Janek, poznawszy właściwości roboty, jak na gruncie, tak w biurze, oswoiwszy się z niwellacją i z egzekucją planów, odterminowawszy jednym słowem w rzemiośle, został inżynierem *de facto* chociaż nie *de jure*. Posiadał praktykę i wprawę, a nawet rozumienie rzeczy, nie będąc dyplomowanym, to znaczy, będąc pozbawionym prawa występowania oficjalnie w charakterze powagi. W gronie atoli ludzi, co go znali osobiście, zdobył sobie poważanie rzeczywiste, które się potęgowało stopniowo, wyrażając się w sposobie, w jaki doń przemawiano. Z razu był Jankiem dla wszystkich bez wyjątku, następnie został Janem, dalej na miejscu imienia występować poczęło nazwisko, a przed takowem pojawiał się od czasu do czasu tytuł „pan“, w końcu tytuł uzyskał prawo obywatelstwa i Janek dla tych, co z nim byli na stopie poufałej, został panem Janem, dla innych zaś panem Hurskim.

Na stopie poufałej pozostawał z nim przedsiębiorca, pan Duda. Ten, oddawszy linję skończoną i zamknąwszy rachunki, przemówił do niego w sposób następujący:

— No, w dobrej, jak się zdaje, rozstajemy się komitywie...

— W dobrej, panie dobrodzieju... — odrzekł Janek.

— Zarobiłem grosza nieco ja, zarobisz grosik piękny i ty, panie Janie ..

— No... tak...

— Coś... niby..., parę tysięcy?..

Jan odpowiedział potwierdzająco.

— Za moją przyczyną... — rzekł pan Duda niby od niechcienia. Sądzę jednak, że nie zechcesz na tem poprzestać i będziesz się nadal kolei trzymał... Boć, jak to, mówią, lepsze tyć jak nic, ale przecie od przybytku głowa nie boli...

— Nie wiem jeszcze... Pojadę najprzód do matki, a potem... zobacze...

— Pojedź... przeciwko temu nie mam nic... Ale, co do zobaczenia na potem, to ja ci coś wedle tego powiem... Oto, powiem ci, panie Janie, krótko a węzłowato: nowych bogów nie szukaj... Mam zamiar podjąć się robót na nowej linii, na którą licytacje będą się odbywały tej zimy; zalicytuję udział, może jeden, może dwa: wracaj więc do mnie, będziemy robili razem...

— Propozycja pańska pochlebia mi wielce...

— Nie chodzi o to, pochlebia czy nie, ale o to, że gwarantuję ci, panie Janie, zarobek podwójny, w stosunku do tego, z jakim odchodzisz teraz... Podwyższę ci pensję w dwójnasób i, jeżeli pójdzie mi dobrze, zobowiązuję się dać ci na odchodnem gratyfikację, wyrównyującą pensji całorocznej...

— Hm... — mruknął Hurski i uśmiechnął się.

— Cóż ty, panie Janie, na to?..

— Ja na to, że ryb nie łowią przed niewodem...

— Tak... To też nie robię z tobą układu formalnego, boć sam nie mam jeszcze nic... Ale, powiadam ci, na wypadek jeżeli przyjdzie do czego, żebyś wiedział, czego się trzymać... Konkurentów do nowej linii będzie dużo...

Przy słowach ostatnich pan Duda westchnął głęboko.

Na pożegnanie postawił bordeaux starego butelkę, z której Janowi dostał się jeno kieliszek i pół, resztę we frasunku wysuszył pan Duda i rozrzewnił się.

— Bywaj że mi zdrów... — mówił, biorąc Jana w ramiona i całując go w policzki — bywaj zdrów i o Dudzie dobrze mów... Niech cię pan Bóg odprowadzi i przyprowadzi... Kocham cię, jak mi Bóg miły, jak syna rodzzonego... Szkoda, że moja Kundusia pędrak jeszcze, wydałbym ją wnet za ciebie, ale... co się przewlecze, to nie uciecze... Zanim nową robotę do końca doprowadzimy, to i Kundusia tymczasem dorośnie... Jedź-że więc, matce się odemnie kłaniaj, a niczem się nie związuj, aż odemnie wiadomość dostaniesz...

Propozycja pana Dudy tak była świetną, że przechodziła najsmielsze Jana marzenia. Napełniła

go też radością wielką. Wychodząc od Dudy, miał uśmiech w oczach i z uśmiechem tym zdążył do podwoły, która go odwieźć miała do Doliny i na której znajdował się już tłumoczek jego. Podwoła zaprzężona czekała przed budą Jukła, stojącego we drzwiach i rozmawiającego z furmanem.

— Panie furman!.. — wołał Jan zdaleka — siadajcie, jedziemy... Panie Jukiel — dodał, podchodząc do kantyniera i dłoń mu podając — bywajcie mi zdrowi...

— Niech was, panie Hurski, pan Bóg prowadzi... — odrzekł żyd obojętnie na pozór. Szczęśliwej drogi...

— Może się kiedy zobaczymy jeszcze...

— Ny... czemu nie?.. Hora z horoju ne zijdet'sia... — mówił Jukiel, dłoni Jana ze swojej nie puszczając. Ny... ale... — rzekł, jakby sobie coś nagle przypomniał. Nie zajdzie pan na momencik?..

— I po co?..

— Bodaj na kieliszeczek...

— Wiecie przecie, że ja do kieliszka nie zuch... Wypiłem u pana Dudy wina kieliszek...

— U pana Dudy... — powtórzył żyd machinalnie. Co to jednak szkodzi!.. Pan Duda panem Dudą, a Jukiel Juklem.. Owóż Jukiel zaprasza

was, panie Hurski, nie na kieliszek, a na słówko mądre...

-- Na słówko mądre?.. — zapytał Jan tonem półdziwienia.

— Co tu się dziwować!.. Mam z wami do pogadania we cztery oczy...

Odeszli na stronę. Jukiel zaczął:

— Pan Duda powiadał wam o nowej linji..

Jan odparł gestem potwierdzającym.

— I zobowiązał was?..

— Nie.. to jest... zamówił raczej... Zobowiązania formalnego ani z jego, ani z mojej strony nie było i być nie mogło...

— Być by mogło... — podchwycił żyd z uśmiechem — tylko że pan Duda chciałby pana dostać na warunkach tych samych, na jakich pozostawałeś u niego dotychczas.

— Nie.. — przerwał Jan. Pensję mi we dwójnasób podnosi i gratyfikację obiecuje..

— I.. głupstwo.. Pensję podnosi.. jaki hojny!.. Teraz czasy takie, że ludzie na pensje nie patrzą.. Wiesz pan, co pan Duda zarobił?..

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy..

— A czy on pobierał pensję jaką?.. I ja nie pobierałem żadnej, i także bez zarobku nie odchodzę.. Owoż, pensja, chociażby najwyższa, to głupstwo, i pan Duda, podwyższając pensję w

dwójnasób, nie daje jeszcze panu i dziesiątej części tego, co byś bez pensji mieć mógł..

— A toż jakim sposobem?.. — zapytał Jan zdziwiony.

— Najprostszym w świecie... Stań pan do licytacji i weź roboty na siebie, na jeden ucza-
stek, na dwa uczałtki, na trzy uczałtki...

— Ja?... miałbym licytować?..

— Pan... ny... Cóż to dziwnego!..

— Potrzeba przecie kaucji: zkądbym ją wziął?..

— Niech to pana nie obchodzi... Kaucja?.. ta się znajdzie..

— Ależ... zaczął Jan.

— At... — przerwał żyd. Nie ma co gadać długo... Chcesz pan roboty prowadzić, stawaj na termin do licytacji... Kaucja będzie...

— Zkąd?..

— Co panu do tego!.. Kaucja będzie.. — powtórzył z przyciskiem. Co zaś do warunków, te takie: czystego zysku połowa panu i w dodatku pensja roczna cztery razy taka, jak ta, którą pan Duda obiecuje... Nu?..

— Hm... -- odezwał się Jan, dłonie rozkładając i oczy do góry wznosząc — pokazuje się, że się pod szczęśliwą urodził gwiazdą..

— Żadna to gwiazda, a prosta spółka... Jedna strona wkłada tyle, druga tyle...

— Ja, z mojej strony, nie wkładam nic... — podchwycił Jan.

— Gadaj pan zdrów!.. Gdyby nie pańska wkładka, toby Duda zarobił nie siedemdziesiąt tysięcy zysku, a siedemdziesiąt pięć tysięcy straty...

— A toż jak?..

— Jak?.. ny... Pamiętasz pan tę wodę?.. Gdyby nie pan, musiałby kanał kopać, most stawiać, albo groblę sypać i, zamiast wyjść Dudą w pierze porośłym, wyszedłby Dudą bez koszuli... Ny, Duda, gdyby dudą nie był, powinienby się z panem zyskiem pół na pół podzielić i na przyszłość pana sobie na spółnika zamówić... Ale on duda... chce być mądry i na durnicę was zwabić... na plewy wróbla wzięść... Na plewy nie bierze się wróbel stary... Ale pan, panie Hurski, młody, dałbyś się wzięść, gdyby nie ja, co, z boku się przypatrując, widzę dobrze, co się święci...

— Łaskę, dobrodziejstwo mi wyświadczasz...

— Ph... — odparł żyd przeciągle. Ani to łaska, ani dobrodziejstwo żadne... Pan wkładasz do spółki głowę, ja pieniądze... Pańska wkładka nic by wartą nie była bez mojej, moja bez pańskiej... Nu... — wyciągnął dłoń — idzie?..

— I-dzie... — odparł Jan z przyciskiem, podając dłoń swoją Jukłowi.

W chwili tej wydobył żyd z zanadrza pa-

pier we czworo złożony i wręczył Janowi takowy.

— Toż co?..

— Kontrakt, na którym pańskiego tylko podpisu braknie.. Z kontraktem tym w kieszeni stanesz pan na targach i, zatargowawszy, podpiszesz...

Jan przebiegł pisane oczami i, gdy papier składał, w celu włożenia takowego w boczną od paletota kieszeń, Jukiel zapytał:

— Zgoda?

— Zgoda...

— Nie masz pan nic do powiedzenia, co się warunków tyczy?...

— To chyba tylko, że gdybym sam je układał, nie mógłbym ułożyć dogodniej dla siebie.

— Wypadałoby teraz mohorycz zapisać, cóż jednak... z panem bieda co do mohoryczowego interesu... — rzekł Jukiel żartobliwie. To niechże chyba ta umowa pozostanie już tak sobie, na sucho... Jedź pan zdrów...

Jan wskoczył na wóz parą zaprzężony koników; furman ujął lejce w rękę lewą, prawą z batogiem do góry podniósł, i szarpiąc pierwszemi a wywijając drugim, cmokając przytem a hukając, ledwie nieledwie zniewolił konięta do ruszenia z miejsca. Ruszyły jednak w końcu i wóz się potoczył, unosząc Jana, jak owa łódź histo-

ryczna, która niegdyś unosiła Cezara i losy jego, i ciężko jej mimo to nie było, dlatego zapewne, że mężowie jak Cezar lekkie pospolicie miewają serca. Lekko było na sercu i Janowi naszemu, mimo to wóz posuwał się powoli, jakby obładowanym był ciężarem Bóg wie jakim.

Podróż bardzo powolna dostarczała młodemu człowiekowi czasu aż nadto do marzenia o niebieskich migdałach.

Punktem wychodnim marzeń jego była oczywiście propozycja Jukla, otwierająca przed nim szerokie niezmiernie horyzonty.

— No... cóż!... — powiadał sobie... będę bogaczem...

Wielką mu to sprawiało przyjemność. Że jednak w naturze niejako swojej miał wyszukiwanie racji, więc cofnął się myślą wstecz o lat trzy z górą i zatrzymał się na tym życia swego momencie, w którym ważyły się losy jego. Przypomniawszy sobie namowy matki, starego Paliwody i Rózi, przypomniał sobie chodzenie do pana Galacera po rekomendację.

— Hm... gdyby mi ten rekomendację był dał, byłbym się wymówić nie mógł... byłbym ugrzązł... byłbym — dodał po chwili — pozostał na zawsze obok niej, w nią zapatrzony, jej bliiski, a przecie od niej daleki... daleki.. och! — lokaj!... Stało się więc lepiej, tak jak się stało...

Winienem mu (miał pana Gałacera na myśli) wdzięczność wielką.. Dzięki jemu wykierowałem się nie na lokaja, a na człowieka.. na człowieka... niepodległego, niezależnego, równego jemu... równego jej... Jej?... Czyż jej równego?..

Zapytanie to było następstwem wątpliwości, jaka się niewiedzieć zkał w umyśle jego urodziła, a urodziła się pomimo głębokiego o równości ludzi przekonania.

— Czyż nie byłem równym i przedtem jej, jemu i każdemu?... Czyż mnie co teraz podniosło?... Pieniądze?... cha, cha, cha!...

Roześmiał się tak głośno, że furman odwrócił się i spojrział na niego wzrokiem, który wyrażał zapytanie: czy też temu paniczowi nie braknie której klepki w głowie?...

To przerwało na chwilę tok marzeń Jana. Po chwili jednak rozpoczął na nowo, wychodząc obecnie z punktu równości.

— Prawda — mówił sobie w duchu — dawniej nie umiałem nic, dziś umiem coś, coś, czego nie umie, ani pan Dryndalski, ani ona... Może jednak umieją oni coś, czego nie umiem ja... cóż, na przykład?...

Tu przypominał sobie pisma, czytywane w Dolinie a przynoszone z Motowidła, szukając w takowych śladów i świadectw umiejętności, jakie

by posiadać mogła hrabianka. Niestety, nie znajdował żadnych wyraźnych Przedstawiały się mu same szkice, pod postacią mieszaniny encyklopedycznej cząstek i ułamków, połączonych jedne z drugimi cieniuchnemi a wątlami niteczkami pajęczyny.

— Hm... hm.. — chrząkał raz po raz, nie śmiąc wydać wyroku ignorancji na tę, która w wspomnieniach jego stała uroczym oblana blaskiem.

— Ale on!... — zawołał prawie — on!... pan Gałacer Dryndalski, który nigdy w życiu nie czytał, nie czyta i czytać nie będzie... On! cóż umie?... Czemże, jeżeli nie pieniędzmi tylko, manifestuje się wyższość jego nademną?... A jeżeli manifestuje się tak nie inaczej, to jestże to wyższość istotna?... Mimo to, ja panu Gałacerowi Dryndalskiemu równy, mało, mało że nie zostałem... lokajem... O, jakże ja mu wdzięczem!... Podziękuję mu .. tak... podziękuję...

Ta myśl ostatnia tak go rozweseliła, że był by się znów w głos roześmiał, gdyby nie wzgląd na furmana. Uśmiechnął się więc tylko i dalej pograżył się w marzenia.

Marzył o niej — snuł tkankę z promieni, a w tkance tej brzęczała, niby w siatkę pajęczą pojmana, ona. Brzęczała i bała się. On uspakajał ją — przemawiał do niej:

— Nie bój się, złego nie stanie ci się nic...
to ja, a nie pająk... Ja ..

Nie wiedział, ani czem jest, ani czem być ma, ani też czem być by mógł dla niej. Ta część marzeń rozpływała się w mglistą jakąś obłoczność, opromienioną cudnie, ale nie ujętną, nie wypowiedzianą i nie określoną. Czasu jednak szło na nią najwięcej. Młody człowiek rozkoszował się w nieokreśloności, w której hrabianka Dzierzejewska punkt ogniskowy zajmowała... Głównie chodziło o to: jak, w jaki sposób, Jan Hurski przystąpi do hrabianki Julji Dzierzejewskiej? Zapytanie to, wystąpiwszy od razu jako zagadka, nie przestawało być zagadką do końca, pomimo tysiąca tysięcy rozwiązań, jakie się same nastrecały, a były jedne od drugiego piękniejsze, poetyczniejsze i oryginalniejsze, ale nie rozsądniejsze. Rozsądnosc w rozwiązaniach onych, przedstawiała się stroną swoją najslabszą. Mogłóż być inaczej? O rzeczach tych rozprawiał Jan prawie, jak ślepy o kolorach. Kudy kucomu do zajcia!... — gdzie jemu do hrabianki!...

Rozmyślał jednak i z rozmyślania tę osiągnął korzyść, że skrócił sobie czas podróży, trwającej dni trzy całe, i czwartego połowę. Hetki chłopskie wlokły się noga za nogą, pospieszając jedynie z góry na dół, gdy wóz, tocząc się ciężarem własnym, ciągnął je z przodu naszelnikami za szyje i bił z tyłu orczykami po

nogach. Wówczas czwaleń zbiegały i od pędu wielkiego furmanowi czapka spadała, z wozu się słoma wytrzęsała, a Jan chwycił się półdrabków oburącz i zęby zaciskał w obawie pogubienia takich. Pędów takich zdarzyło się kilka. Ostatni miał miejsce w Dolinie, a przyszedł nie w porę, stając w poprzek rozrzewnieniu, jakie przejęło młodego Hurskiego, gdy z góry ujrzał, bliżej wieś rozrzuconą nad stawem, dwór biały, cerkiew o trzech wieżach, karczmę z frontonem architektonicznym i chatę Paliwody w sadku wiszniowym półukrytą, dalej zaś, pola, łąki, lasek brzozowy, a jeszcze dalej, dach czerwony pałacu w Motowidle, szeregi okien połyskujących do słońca i park, ów park, w którym, w alejach którego... Do myśli cisnąć mu się poczęło wspomnień tysiące, w piersi odbywało się jakieś wezbranie. Nagle jednak, wspomnienia zgasły, wezbranie opadło: — Jan chwycić się musiał za półdrabki. Napróżno woźnica wysyłając z piersi cały zapas ducha, wołał:

— Csss...

Napróżno wołanie powyższe przeplatał następującem:

— Prrrr...

Napróżno Jan, za półdrabki się trzymając, pomagał mu z sił całych, zamieniając co chwila csss na prrr i prrr na csss.

Wóz wichrem pędził, na grudzie trzął się gwałtownie, na kamieniach podskakiwał do góry, od dylów zataczał się na prawo lub na lewo, o płoty zaczepiał i pędu nie zwolnił, aż na połowie grobli, minawszy zagrodę Jacka Paliwody i zostawiwszy takową o jakie ćwierć mili z tyłu. Dojeżdżając do wrót, Janek ujrzawszy matkę z daleka, krzyczał z rozpaczą niemal:

— Tu!.. tu!.. stój!.. stój!.. nawracaj!.. stój!.. tu!..

Chciał wyskakiwać, nie mógł jednak tego uskuteczyć, albowiem od wrót właśnie Paliwody wóz doznał takiego silnego w bok rzucenia, że w skutek onego oderwała się od półdrabka jedna z rąk Jana, a nim ten takową znów półdrabek ujął, już wrota pozostały daleko za nim i wyskakiwania racja upadła. I dobrze się stało. Gdyby zamiar wyskoczenia do skutku doprowadził, byłby z pewnością bez szwanku nie wyszedł. Tak zaś, nie nogę, ani rękę, nie całość ziober lub karku, a rozrzewnienie tylko postradał i o pół godziny spóźnił powitanie, z jakim pogarnęła się do niego matka.

Koniec tomu pierwszego.



4/22

F
1261
1-2